



# DZIADĘK DO ORZĘCHÓW



É. T. A. HOFFMANN



# DZIADĘK DO ORZĘCHÓW

É. T. A. HOFFMANN

PRZEKŁAD: JÓZEF KRAMSZYK



Rozdział I:  
Wieczór wigilijny

Dnia dwudziestego czwartego grudnia nie wolno było dzieciom pana radcy zaglądać ani do salonu, ani do przyległego pokoju.

Fred i Klara siedzieli skuleni w najbardziej oddalonym kąciku mieszkania i kiedy zmierzch już zapadł, a światła, jak to się zwykle działo w dniu Wigilii, nie wnoszono, zrobiło im się nieswojo. Fred zwierzył się szeptem swojej siedmioletniej siostrzyczce, że już od rana słyszał dobiegające z zamkniętych pokoi szmery i lekkie pukanie, a ciemna postać, która przed chwilą przemknęła przez sieni, to na pewno ojciec chrzestny.

Klara aż klasnęła w dłonie z radości i zawołała:

– Ciekawa jestem, jaką dzisiaj przygotował dla nas niespodziankę!

Ojciec chrzestny Freda i Klary, sędzia Droselmajer, nie był pięknym mężczyzną. Niski, chudy, twarz miał pooraną głębokimi zmarszczkami, a prawe oko zasłonięte wielkim czarnym plastrem. Na domiar złego był zupełnie łysy i pragnąc to ukryć, nosił śliczną, kunsztownie wykonaną białą perukę ze szkła. Mimo tych braków był on jednak niezwykłym człowiekiem. Przede wszystkim doskonale znał się na zegarach, a nawet sam umiał je sporządzać. Jeżeli się zdarzyło, że jeden z pięknych zegarów w mieszkaniu pana radcy nie mógł wydobyć głosu, ojciec chrzestny zdejmował szklaną perukę oraz żółty surducik i zasiadał, owiązany niebieskim fartuchem, po czym pogrążał ostre narzędzia we wnętrzościach zegara i majstrował tam tak długo, że aż małą Klarę bolało. Ojciec chrzestny nigdy jednak nie zrobił swemu pacjentowi nic złego, przeciwnie, po tych zabiegach zegar powracał do życia, mruczał z zadowoleniem, wybijał godziny i śpiewał ku radości domowników.



Ilekoć ojciec chrzestny przychodził, przynosił dzieciom w kieszeni coś ładnego: zabawnego człowieczka, który przewracał oczami i kłaniał się uprzejmie, szkatułkę, z której wyskakiwał ptaszek, lub inne cuda. Na Boże Narodzenie zaś przynosił zawsze niezwykły podarunek, z wielkim trudem i staraniem własnoręcznie sporządzony. Niestety dzieci niedługo się nim cieszyły, gdyż rodzice wkrótce zabierali go zawsze na przechowanie.

– Ciekawa jestem, jaką niespodziankę przygotował dla nas dzisiaj ojciec chrzestny! – zawołała znowu Klara.

Fred był zdania, że tym razem będzie to na pewno forteca, w której śliczni

żołnierze maszerują tam i z powrotem, odbywając ćwiczenia; potem przyjdą inni żołnierze, zaatakują fortecę, a tamci odpędzą ich strzałami z armat.

– Nie, nie! – przerwała Klara. – Ojciec chrzestny opowiadał mi o pięknym ogrodzie i o wielkim jeziorze, po którym pływają wspaniałe łabędzie ze złotymi naszyjnikami i śpiewają prześliczne pieśni. A potem wychodzi mała dziewczynka, staje nad jeziorem, woła łabędzie i karmi je słodkim marcepanem.



– Łabędzie nie lubią marcepana! – zawołał Fred niezbyt grzecznie. – A ojciec chrzestny na pewno nie umiałby zrobić całego ogrodu! Właściwie niewielką mamy pociechę z jego zabawek, bo zaraz nam je odbierają. Wolę już te zabawki, które dostajemy od tatusia i mamusi, możemy je na zawsze zatrzymać i wolno nam z nimi robić, co nam się podoba.

Tak rozmawiały dzieci, ciekawe, co dostaną tym razem. Klara skarżyła się, że panna Gertruda – była to duża lalka – bardzo się zmieniła, że coraz częściej upada na podłogę i to tak niezgrabnie, że przeważnie nie obywa się bez podrapania twarzy, nie mówiąc już o tym, że brudzi sukienkę; co gorsza, nie pomagają najsurowsze kary! Fred znowu twierdził, że w jego stajni brak dzielnego kasztana i że w ogóle w wojsku jego zupełnie nie ma konnicy – a tatuś przecież doskonale wie o tym.

Dzieci wiedziały, że rodzice nakupili dla nich mnóstwo podarunków i teraz ustawiają je w salonie, im zaś nie pozostaje nic innego, jak grzecznie i spokojnie oczekiwać tego, co im w darze przypadnie.

Mała Klara zamyśliła się, ale Fred mruczał do siebie:

– Chciałbym jednak dostać kasztanka i huzarów!

Szybko zapadał zmierzch. Fred i Klara, mocno przytuleni do siebie, nie śmieli powiedzieć nic więcej. W tej samej chwili dał się słyszeć czysty, srebrny dźwięk: „Dyń-dyń, dyri-dyń!” Drzwi otworzyły się nagle i taki blask wpadł z wielkiego salonu, że dzieci krzyknęły: „Ach!” i jak wryte zatrzymały się na progu. Tatuś i mamusia ukazali się we drzwiach, wzięli za ręce Freda i Klarę i powiedzieli:

– Chodźcie, chodźcie, kochane dzieci!



Rozdział II:  
Podarunki



Zwracam się teraz do Ciebie, Czytelniku, Fredku, Tadziu, Karolku – czy jak ci tam na imię – i proszę, żebyś przypomniał sobie swoją ostatnią Gwiazdkę i podarunki, które otrzymałeś. Wtedy dopiero będziesz mógł wyobrazić sobie, jaki zachwył ogarnął dzieci i jak im oczy zabłyśły. Klara dopiero po długiej chwili westchnęła: „Ach, jakie to śliczne!”, a Fred zaczął skakać z radości. Najwyraźniej dzieci były przez cały rok wyjątkowo grzeczne i posłuszne, bo nigdy przedtem nie dostały takich wspaniałości.

Wielka choinka, stojąca pośrodku pokoju, obwieszona była mnóstwem złotych i srebrnych jabłek, a ze wszystkich gałązek zwisały na kształt pąków i kwiatów migdały z cukru, kolorowe cukierki i wiele innych słodczy. Ale najbardziej zachwyciły dzieci niezliczone świece, które jak gwiazdki błyszczały pomiędzy igłami. Drzewko, rozsiewając blask dokoła, zapraszało wprost, by zrywać kwiaty i owoce. Naokoło drzewka wszystko jaśniało wspaniałymi barwami: ileż tu było pięknych rzeczy, któż by to potrafił opisać! Klara spostrzegła śliczne laleczki i sukienkę z kolorowymi wstążeczkami, która wisiała na wieszadle w ten sposób, że dziewczynka mogła ją ze wszystkich stron dokładnie obejrzeć. Klara wołała raz po raz:







– Ach, jaka śliczna sukienka! Czy naprawdę wolno mi będzie ją włożyć?



Fred tymczasem trzy albo cztery razy przegalopował i przekłusował dokoła stołu, próbując nowego kasztanka, który był uwiązany do stołu. Potem zsiadł z konia i powiedział:

– Dzika bestia, ale to nic, już ja sobie dam z nim radę.

Potem zaczął oglądać nowy pułk huzarów. Pięknie odziani w czerwone i złote mundury, przybrani w srebrną zbroję, siedzieli na koniach, które tak błyszcząły, jakby były zrobione z czystego srebra.



Dzieci, które ochłonęły już trochę z podniecenia, chciały obejrzeć książki z obrazkami. Leżały one otwarte na stole w ten sposób, że widać było śliczne kwiaty i wystrojonych ludzi, a nawet wesoło bawiące się dzieci, namalowane tak świetnie, jak gdyby naprawdę żyły i mówiły. Dzieci chciały właśnie podejść do tych książek, kiedy znów zadźwięczał dzwonek.

Fred i Klara wiedzieli, że teraz kolej na podarunki od ojca chrzestnego, i podbiegli do stołu pod ścianą, zasłoniętego parawanem. I oto, co ukazało się ich oczom:

Na zielonym, obsypanym kwiatami trawniku stał wspaniały zamek z lustrzanymi szybami i złotymi wieżami. Nagle rozległ się dźwięk dzwonek,

drzwi i okna otworzyły się i widać było, jak w środku spacerują maleńkie zgrabne ludziki: panowie w kapeluszach z piórami, panie z długimi trenami u sukien. W środkowej sali, która zdawała się cała stać w płomieniach – tak wiele świeczek paliło się w srebrnych żyrandolach – tańczyły dzieci w takt muzyki dzwonek. Jakiś pan w szmaragdowym płaszczu co chwila wyglądał przez okno, machał ręką i znikał znowu. I sam ojciec chrzestny, niewiele większy od dużego palca tatusia, zjawiał się od czasu do czasu na dole w drzwiach zamku i znowu wchodził do środka.



Fred, oparty o stół obiema rękami, przyglądał się ślicznemu zamkowi i tańczącym figurkom, a potem rzekł:

– Ojcie chrzestny, pozwól mi także wejść do zamku!

Ale sędzia odpowiedział mu, że to jest niemożliwe. I miał rację, gdyż była to nierozsądna myśl wejść do zamku, który razem z wieżami niższy był niż on sam! Fred to zrozumiał, ale po pewnym czasie – gdy panowie i panie spacerowali ciągle w ten sam sposób, dzieci tańczyły, człowiek w szmaragdowym płaszczu wyglądał zawsze przez to samo okno, a ojciec chrzestny ukazywał się we drzwiach – chłopiec zawołał niecierpliwie:

– Ojcie chrzestny, wyjdź raz innymi drzwiami!

– Nie mogę, drogi Fredku – odparł sędzia.

– A czy możesz – mówił dalej Fred – kazać temu zielonemu człowiekowi, który tak często wygląda przez okno, żeby spacerował razem z innymi?

– Tego także nie mogę zrobić – odpowiedział znowu radca sądu najwyższego.

– To niech dzieci zejdu na dół – zawołał Fred – żebym mógł je obejrzeć z bliska!

– Ach, tego wszystkiego nie da się zrobić – odparł rozdrażniony sędzia. – Mechanizm musi pozostać taki, jakim go zrobiłem.

– Taak? – zapytał Fred, przeciągając sylaby. – Tego wszystkiego nie można zrobić? Słuchaj, kochany ojcie chrzestny, jeżeli te twoje malutkie wystrojone

figurki w zamku umieją robić jedno i to samo w kółko, to niewiele są warte i na nic mi się nie przydadzą. Nie, wolę już swoich huzarów, bo oni mogą maszerować naprzód i w tył, jak ja będę chciał, a nie siedzieć w zamknięciu!

To powiedziawszy, Fred podbiegł do stołu z podarunkami i kazał swojemu szwadronowi kłusować tam i z powrotem na srebrnych rumakach, powiewać chorągwiami, atakować i strzelać, ile dusza zapragnie. Klara także odeszła po cichutku, bo i jej prędko znudziły się te spacerunki i tańce laleczek w zamku, tylko nie zdradziła się z tym jak Fred, bo była grzeczna i dobra. Rozgniewany sędzia zwrócił się do rodziców:

– Ten cudowny mechanizm nie jest przeznaczony dla nierozsądnych dzieci, zapakuję mój zamek z powrotem.

Ale wtedy podeszła matka i poprosiła ojca chrzestnego, żeby pokazał jej wewnętrzne urządzenie zamku i skomplikowane zębate kółka, które wprawiały lalki w ruch. Radca rozebrał cały mechanizm i znowu go złożył. Rozpogodził się przy tym zupełnie i dał jeszcze dzieciom kilka ładnych brązowych figurek ze złożonymi twarzami, rękami i nogami. Wszystkie były rodem z Torunia i tak przyjemnie pachniały, że Fred i Klara ucieszyli się bardzo. Ich starsza siostra Ludwika włożyła na życzenie matki piękną, nową suknię, ale Klara wolała jeszcze dłużej oglądać swoją sukienkę, zamiast kłaść ją na siebie. Chętnie jej na to pozwolono.

Rozdział III:  
Wychowanek

Klara dlatego nie chciała odejść od stołu gwiazdkowego, ponieważ odkryła coś, czego dotychczas nikt nie zauważył. Dzięki temu, że huzarzy Freda wymaszerowali i ustawili się w szyku pod drzewem, ukazał się niezmiernie wytworny mały człowieczek, który stał spokojnie i skromnie, jak gdyby oczekiwał swojej kolei. Można by wprawdzie dużo zarzucić jego figurze, bo długi i zbyt gruby tułów nie harmonizował z cienkimi i krótkimi nóżkami, a głowa była o wiele za duża. Ale te braki wynagradzało eleganckie ubranie, które świadczyło o dobrym smaku. Mały człowiek miał na sobie śliczną fioletową kurtkę huzarską z licznymi białymi sznurami i guzikami, spodnie tego samego koloru, a buciki piękniejsze niż wszystkie, jakie zdobiły kiedykolwiek nogi studenta, a nawet oficera. Tak dobrze przylegały do delikatnych nóżek, jakby były namalowane. Z ramion zwisał mu wąski i niezgrabny płaszcz, który wyglądał jak z drzewa, a na głowie miał czapkę górniczą. Ale Klara pomyślała sobie, że ojciec chrzestny także ma bardzo lichy płaszcz i brzydką czapkę, a jednak jest naprawdę niezwykły. Pomyślała również, że gdyby ojciec chrzestny ubrał się nawet tak starannie, jak ten mały, to jeszcze by tak ładnie nie wyglądał.



Przyglądając się uważnie miłemu człowieczkowi, którego polubiła od razu, Klara spostrzegła, że na twarzy jego malowała się wielka dobroć. Jasnozielone, trochę wylupiate oczy pełne były przyjaźni i życzliwości. Dodawała mu wdzięku starannie uczesana broda z białej bawełny, okalająca podbródek, a czerwone usta uśmiechały się łagodnie.

– Ach – zawołała wreszcie Klara – powiedz mi, drogi ojczu, do kogo należy ten miły człowieczek tam pod drzewem?!

– Zadaniem tego człowieczka, moje drogie dziecko – odpowiedział ojciec – jest dzielnie pracować dla nas wszystkich. Ma on rozgryzać twarde orzechy; a należy zarówno do Ludwiki, jak do ciebie i Freda.



To mówiąc, ojciec zdjął go ostrożnie ze stołu i unióś w górę jego drewniany płaszczyk, a człowieczek otworzył wtedy usta szeroko, szeroko i ukazał dwa rzędy lśniących, ostrych ząbków.

Na prośbę ojca Klara włożyła mu orzech do ust i – trzask! – rozgryzł go, łupiny rozleciały się, a Klarze wpadło do ręki samo słodkie jądro. Teraz dowiedzieli się wszyscy, a i Klara także, że ten śliczny mały człowieczek pochodzi z rodu Dziadków do Orzechów i że trudni się nadal zawodem swoich przodków. Dziewczynka nie posiadała się z radości, a ojciec powiedział:

– Ponieważ Dziadek tak ci się podoba, powinnaś go starannie przechowywać i chronić; ale, jak już powiedziałem – mają prawo używać go także Ludwika i Fred.

Klara natychmiast wzięła Dziadka do ręki i kazała mu gnieść orzechy, ale wybierała najmniejsze, żeby człowieczek nie musiał ust otwierać za szeroko, bo w gruncie rzeczy nie było mu z tym do twarzy. Zbliżyła się Ludwika i jej także musiał Dziadek wyświadczyć podobną przysługę; widać było, że czyni to chętnie, bo uśmiechał się bardzo przyjaźnie.



Tymczasem Fred zmęczył się ciągłymi manewrami i konną jazdą, a słysząc wesołe trzaskanie orzechów, podbiegł do sióstr i śmiał się serdecznie z zabawnego małego człowieczka, który wędrował z rąk do rąk i nie przestawał ani na chwilę otwierać i zamykać ust. Teraz dostał go Fred, który dawał mu największe i najtwardsze orzechy, ale coś nagle trzasnęło i trzy zębki wypadły z ust Dziadka do Orzechów, a cały podbródek obluzował się i zaczął zwisać.

– Ach, mój biedny, kochany Dziadek do Orzechów! – wykrzyknęła głośno Klara i odebrała go natychmiast Fredowi.



– Ależ to nedorajda! – powiedział Fred. – Chce być Dziadkiem do Orzechów, a nie ma nawet porządnych zębów; pewnie nie zna wcale swojego rzemiosła. Oddaj mi go, Klaro, będzie mi rozgryzał orzechy, choćby miał resztę zębów postradać, a nawet i cały podbródek! Co nam po tym nicponiu!





– Nie, nie! – wołała Klara, płacząc. – Nie dam ci mojego kochanego Dziadka do Orzechów! Patrz, jak żałośnie na mnie patrzy i pokazuje mi swoją pokaleczoną szczękę!

– Ale Dziadek do Orzechów jest tak samo mój, jak i twój – zawołał Fred – więc mi go oddaj!

Klara rozplakała się na dobre i prędyutko zawięła chorego Dziadka do Orzechów w chusteczkę do nosa. Weszli rodzice z ojcem chrzestnym, który, ku wielkiemu zmartwieniu Klary, wziął stronę Freda. Ale ojciec rzekł:

– Oddałem Dziadka do Orzechów pod opiekę Klary, a ponieważ widzę, że potrzebuje teraz jej pomocy, więc może z nim robić, co jej się podoba, i nikomu wtrącać się do niej nie wolno! Poza tym dziwi mnie bardzo, że Fred wymaga dalszych usług od kogoś, kto zachorował na służbie. Jako dobry żołnierz, powinien wiedzieć, że rannych nigdy nie wciela się do szeregu.

Fred zawstydział się bardzo i nie troszcząc się dłużej o orzechy i Dziadka, odszedł na drugą stronę stołu, gdzie jego huzarzy już się udawali na nocną kwaterę, pozostawiając na placu tylko wartę. Klara pozbiierała zgubione ząbki Dziadka do Orzechów, owiązała mu chory podbródek ładną białą wstążką, odczepioną od sukienki, i jeszcze staranniej zawięła w chusteczkę biednego małego człowieczka, który był bardzo blady i wystraszony. Trzymając go i kołysząc na rękę jak małe dziecko, zaczęła oglądać śliczną książkę z obrazkami, która leżała obok innych podarków. Chociaż miała bardzo łagodne usposobienie, gniewała się bardzo, gdy ojciec chrzestny śmiał się do rozpuku i pytał raz po raz:





– Jak ona może być taka troskliwa dla tego okropnego brzydala?

Klara przypomniała sobie nagle, że gdy spostrzegła człowieczka po raz pierwszy, wydał jej się podobny do ojca chrzestnego, i powiedziała bardzo poważnym tonem:

– Kto wie, kochany ojciec chrzestny, czy ty wyglądałbyś tak ładnie, gdybyś nawet wystroił się tak, jak mój drogi Dziadek do Orzechów, i gdybyś włożył równie ładne, błyszczące buciki?

Klara nie zrozumiała, dlaczego rodzice roześmieli się tak wesoło, a ojciec chrzestny przestał się śmiać i nos mocno mu poczerwieniał.



Rozdział IV:  
Cuda

W bawialnym pokoju radcostwa, na lewo od drzwi, pod szeroką ścianą stoi oszklona szafa. W szafie tej dzieci przechowują wszystkie prześliczne rzeczy, które co rok dostają. Ludwika była jeszcze zupełnie mała, kiedy ojciec zamówił tę szafę u zręcznego stolarza. Szafa miała tak jasne szyby i w ogóle była tak kunsztownie zrobiona, że wszystko w niej wyglądało jeszcze ładniej niż w ręce. Na górnej półce, której nie mogli dosięgnąć Fred i Klara, stały cudowne wyroby ojca chrzestnego, niższa przeznaczona była na książki z obrazkami, a dwie dolne – dzieci mogły zapełniać, czym chciały; ale tak się zawsze składało, że Klara z najniższej półki robiła mieszkanie dla lalek, a Fred na wyższej półce kwaterował wojsko. Tak było i dzisiaj, bo Fred ustawił huzarów na górze, a Klara o jedną półkę niżej odsunęła na bok pannę Gertrudę, umieściła nową, wystrojoną lalkę w ślicznie umeblowanym pokoju i zaprosiła się do niej na podwieczorek. Pokój był rzeczywiście ślicznie umeblowany. Nawet Klara nie miała takiej wzorzystej małej sofki, takich zgrabniutkich krzesłek i tak miłutkiego białego łóżeczka, jak jej lalki. To wszystko stało w kącie szafy, której ściany zawieszono były barwnymi obrazkami, i możecie być pewni, że nowa lalka była zadowolona ze swojego pokoiku. Lalka ta, jak jeszcze tego samego wieczoru dowiedziała się Klara, nazywała się panna Eliza.



Był już późny wieczór, zbliżała się północ, ojciec chrzestny dawno poszedł do domu, a dzieci wciąż jeszcze nie mogły oderwać się od oszklonej szafy, chociaż matka przypominała im ciągle, że pora iść do łóżek.

– To prawda – zawołał wreszcie Fred – ci biedni chłopcy (miał na myśli huzarów) także chcą już odpocząć, a póki ja tu jestem, żaden z nich się nie zdrzemnie, tego jestem pewien!

To mówiąc, poszedł, ale Klara zaczęła prosić:

– Jeszcze chwileczkę, mamusiu, jeszcze jedną chwileczkę zostaw mnie tutaj! Mam dużo do roboty, ale jak tylko skończę, zaraz pójdę spać.



Klara była dzieckiem grzecznym, rozsądnym, więc matka mogła ją bez obawy zostawić samą z zabawkami. Bojąc się jednak, że dziewczynka, zajęta nową lalką, zapomni zdmuchnąć świece palące się dokoła szafy, matka zgasiła je i tylko lampa, która wisiała na suficie pośrodku, rzucała łagodne i przyjemne światło.

– Nie siedź zbyt długo, droga Klaro, bo jutro nie będziesz mogła wstać w porę – upomniała matka i poszła do sypialni.

Kiedy tylko Klara pozostała sama, zajęła się zaraz czymś, co bardzo leżało jej na sercu, a nie wiedząc sama dlaczego, chciała to ukryć przed matką. Ciągle jeszcze trzymała w ręku chorego Dziadka do Orzechów, zawiniętego w chusteczkę. Teraz położyła go ostrożnie na stole, odwinęła z chustki i zaczęła oglądać jego rany. Dziadek był bardzo blady, ale uśmiechał się tak czule i przyjaźnie, że Klara poczuła się bardzo wzruszona.



– Ach, kochany Dziaduniu do Orzechów – powiedziała cichutko – nie gniewaj się, że mój braciszek Fred sprawił ci tyle bólu; on nie chciał ci zrobić nic złego. Mogę cię zapewnić, że to dobry chłopak. Będę cię troskliwie pielęgnowała, aż wyzdrowiejesz i staniesz się znowu wesoły, a ojciec chrzestny Droselmajer wstawi ci nowe zębki i umocuje ramiona; on to na pewno potrafi.

Ale ledwie wymówiła te słowa, kiedy Dziadek, usłyszawszy nazwisko ojca chrzestnego, straszliwie wykrzywił usta, a jego oczy zaświeciły zielonym blaskiem i stały się kłujące jak szpilki.

Klara o mały włos nie krzyknęła z przestachu, lecz w tej samej chwili zwróciła się ku niej z przyjaznym uśmiechem dawna twarz poczciwego Dziadka,

pomyślała więc, że to wiatr zachwiał płomieniem lampy i nagły błysk zmienił wyraz twarzy Dziadka.



– Ach, jaka głupia ze mnie dziewczynka! Przerazam się tak łatwo; niemal uwierzyłam, że lalka z drzewa może stroić miny! Ale ten Dziadek do Orzechów strasznie mi się podoba. Jest taki zabawny, a przy tym dobroduszny. Dlatego właśnie powinnam go pielęgnować, gdy jest chory.

To mówiąc, Klara wzięła Dziadka na ręce, podeszła do oszklonej szafy, przykucnęła przed nią i odezwała się do swojej nowej lalki:

– Bardzo cię proszę, panno Elizo, żebyś ustąpiła łóżeczka choremu, poranionemu Dziadkowi do Orzechów, a sama ułożyła się na sofie, jak możesz najwygodniej. Pomyśl, że jesteś zupełnie zdrowa i w pełni sił, bo inaczej nie miałabyś przecież takich rumianych policzków; niewiele lalek, nawet najpiękniejszych, ma tak miękkie kanapy.

Panna Eliza, w pełnym blasku gwiazdkowego stroju, wytworna i niezadowolona, nie odezwała się ani słowem.

– Po cóż te wszystkie ceregiele? – powiedziała Klara, wyjęła z szafy łóżko, ostrożnie ułożyła w nim Dziadunia do Orzechów, przewiązała mu ramiona jeszcze jedną śliczną wstążeczką, odpięta od własnej sukienki, i przykryła go aż po sam nos.

– Nie powinien pozostać na noc obok niegrzecznej Elizy – mówiła dalej Klara, po czym wyciągnęła łóżko ze spoczywającym w nim Dziadkiem i umieściła na wyższej półce. W ten sposób znalazło się tuż obok uroczej wioski, w której kwaterowali huzarzy Freda.

Właśnie zamknęła szafę i chciała się udać do dziecinnego pokoju, kiedy nagle – słuchajcie uważnie, dzieci! – nagle zaczęło coś po cichutku szeptać, mrużyć i trzeszczeć dookoła, za piecem, pod krzesłami, za szafami.

Tymczasem wielki zegar ścienny zaczął chrapać coraz głośniejsze i głośniejsze, ale jakoś nie udało mu się wybić godziny. Klara podniosła głowę i ujrzała, że wielka złocona sowa, która siedziała na zegarze, opuściła skrzydła w ten sposób, że zakrywały całą tarczę, i wysunęła naprzód swoją kocią głowę z zakrzywionym dziobem. Naraz wyraźnie rozległy się chrapliwe słowa:

Zegar, zegar, zegar, zegary,

Mruczcie cichutko, nowy i stary,  
Nowy i stary.  
Król Myszy  
Dobrze słyszy,  
Co się dzieje wkoło,  
Szurum – burum,  
Zanućcie mu piosnkę wesołą!  
Szurum – burum,  
Zadzwoń, dzwonku, zadzwoń cicho,  
Bo go wkrótce porwie lichy!  
I głucho, chrapliwe „bum, bum” zabrzmiało całe dwanaście razy.

Klarę ogarnął lęk i już chciała uciec przerażona, kiedy nagle spostrzegła, że to wcale nie sowa, tylko ojciec chrzestny siedzi na zegarze, a poły żółtego fraka zwisają po obu stronach jak skrzydła. Dziewczynka opanowała przestach i zawołała głośno i płacząco:

– Ojciec chrzestny, ojciec chrzestny!... Co ty tam robisz na górze? Zejdź na dół do mnie i nie strasz mnie tak, niedobry ojciec chrzestny!



Ale nagle usłyszała naokoło siebie jakieś beładne syki i gwizdy, a zaraz potem tupot tysiąca nówek za ścianami: jednocześnie tysiące małych świeczek zabłysło we wszystkich szparach podłogi. Nie były to jednak świece, o nie! To były małe, błyszczące oczki i Klara zobaczyła, że zewsząd wyglądają myszy i starają się wydostać z ukrycia.

„Tup – tup – tup” – rozległo się dokoła i coraz gęstsze tłumy myszy galopowały we wszystkich kierunkach; wreszcie ustawiły się w równe szeregi tak, jak Fred ustawiał swoich żołnierzy, kiedy miała rozpocząć się bitwa.

To wszystko wydało się Klarze bardzo zabawne, a ponieważ nie miała, jak wiele innych dzieci, wstrętu do myszy, szybko wyzbyła się lęku i przerażenia,

gdy nagle rozległ się świst tak straszliwy i ostry, że przeszły ją ciarki.

Jakiż potworny widok ukazał się jej oczom! Doprawdy, drogi Czytelniku, chociaż wiem, że podobnie jak rozważny i śmiały wódz Fred i Ty nie masz duszy na ramieniu, ale gdybyś zobaczył to, co Klara teraz zobaczyła, doprawdy, uciekłbyś stąd i pewnie skoczyłbyś prędko do łóżka, a kołdrę naciągnąłbyś na uszy wyżej, niż potrzeba. Biedna Klara nie mogła jednak tak postąpić, bo – słuchajcie uważnie, dzieci! – nagle zakotłowało się tuż przed nią, a piasek i wapno wyrzucone zostały w górę, jakby za sprawą jakiejś siły podziemnej. Cegły pod jej stopami zaczęły się kruszyć i spod podłogi ukazało się z gwizdem i sykiem siedem głów mysich, ozdobionych siedmioma błyszczącymi koronami. Powoli wy dostał się spod gruzów cały tułów mysy, do którego należało te siedem głów, a na przywitanie Króla Myszy cała armia zapiszczała po trzykroć zgodnym chórem i nagle: „łupu – tupu, łupu – tupu!” – zaczęła zbliżać się do oszklonej szafy wprost na Klarę. Serce dziewczynki zaczęło bić tak gwałtownie, jakby lada chwila miało wyskoczyć z piersi.

Było coraz gorzej: kiedy Klara bliska zemdlenia cofnęła się, szyba, którą trąciła łokciem, wyleciała z drzwi szafy z brzękiem i szczękiem mrozącym krew w żyłach. Klara wprawdzie poczuła w tej chwili przejmujący ból w lewej ręce, ale jednocześnie pierzchnął jej niepokój, bo piski i gwizdki nagle ucichły. Myślała, chociaż bała się spojrzeć przed siebie, że myszy, przerażone brzękiem szyby, schowały się z powrotem do swoich kryjówek.



Ale cóż to znowu być mogło? Tuż za Klarą dały się słyszeć w szafie jakieś dziwne szmery, a potem odezwały się słabe głosiki:

Zbudźmy się raz,  
Zbudźmy się raz,  
Bój czeka nas!  
Już nadszedł czas,  
Zbudźmy się raz,  
Bój czeka nas!

A przy tym ślicznie i miłutko dzwoniły srebrne dzwoneczki.

– Ach, przecież to moje małe dzwoneczki! – zawołała Klara radośnie i szybko się odwróciła. Zobaczyła wtedy, że szafa była jakoś dziwnie oświetlona, a w niej wielki ruch i rwetes. Lalki biegały bezładnie i machały przy tym rękami. Wtem podniósł się Dziadek do Orzechów, odrzucił daleko kołdrę i wyskoczył z łóżka obiema nogami na raz, wołając głośno:

Bum, rrum, rrum,  
Głupi mysi tłum,  
Rrum, rrum – bim i bum,  
Głupi tłum!

Wyciągnął z pochwy małą szabelkę, wywijając ją w powietrzu i krzycał:



– Drodzy moi przyjaciele i bracia, czy chcecie stanąć przy moim boku w tej zaciętej walce?

Pajac Pantaleon, czterej kominiarze, dwaj harfiarze i jeden dobosz zawołali jednocześnie:

– O tak, staniemy wiernie przy tobie! Za tobą pójdziemy na śmierć, walkę i na zwycięstwo!

Z tymi słowami podbiegli do Dziadka do Orzechów, który z zapalem skoczył z górnej półki. Inni mieli łatwiejsze zadanie, bo przede wszystkim byli suto odziani w sukienne i jedwabne suknie, a po wtóre ciało ich zostało zrobione z bawełny i trocin; toteż spadali miękko jak wypchane worki. Ale biedny Dziadek do Orzechów na pewno połamałby ręce i nogi, bo – pomyślcie tylko – półka, z której skakał, znajdowała się niemal o dwie stopy wyżej od półki dolnej, a ciało jego było twarde, jakby wystrugane z drzewa jodłowego. Tak, Dziadek do Orzechów na pewno połamałby ręce i nogi, gdyby nie to, że w chwili skoku panna Eliza zerwała się z kanapy i pochwyciła w miękkie ramiona bohatera z podniesioną szabelką.



– Ach, droga, kochana Elizo – zawołała z płaczem Klara – nie poznałam się na tobie! Teraz jestem pewna, że chętnie odstąpiłaś Dziadkowi swoje łóżeczko!



A panna Eliza rzekła, przyciskając z lekka młodego bohatera do swych piersi z jedwabiu:

– O panie, jesteś chory i ranny, nie narażaj się na niebezpieczeństwa walki! Spójrz, Skaramusz, Pantaleon, kominiarz, harfiarz i dobośz są już na dole, a i lalki z mojej półki zaczynają się ruszać. Spocznij, o panie, w moich ramionach albo wejdź na mój kapelusz z piórami i z jego wysokości oglądaj zwycięstwo!

Tak mówiła Eliza, ale Dziadek do Orzechów machał tak zamasyście nóżkami, że musiała go czym prędzej postawić na ziemi. Wówczas on ukląkł na jedno kolano i wyszeptał:



– O pani, na polu chwały nigdy nie zapomnę, jaką wyświadczyłaś mi łaskę!

Panna Eliza schyliła się nisko, by móc wziąć Dziadka do Orzechów za rączkę, podniosła go ostrożnie do góry, szybko rozwiązała swój pasek przybrany świecidelkami i chciała zawiesić go na szyi Dziadka, lecz on wywinął się z jej rąk, cofnął się o dwa kroki, położył rękę na piersi i odezwał się uroczyście:

– Nie, pani, nie bądź dla mnie tak łaskawa, bo...

Tutaj urwał nagle, westchnął głęboko, potem szybkim ruchem zerwał z ramion wstążeczkę otrzymaną od Klary, przycisnął ją do ust, przewiązał ją na ukos jak wstęgę wojskową i – dzielnie wywijając błyszczącą szabelką – skoczył przez dolną listwę szafy na podłogę, lekko i zwinnie jak ptaszek.

Zrozumieliście zapewne, drodzy Czytelnicy, że Dziadek do Orzechów już teraz, zanim ożył naprawdę, poznał dobroć Klary i że dlatego tylko nie chciał

przyjąć od panny Elizy ślicznej, błyszczącej wstążki, gdyż całym sercem skłaniał się ku innej. Wierny, poczciwy Dziadek do Orzechów wołał, żeby go zdołała skromna wstążeczka Klary.

Ale co będzie dalej? Kiedy tylko Dziadek zeskoczył, piski i świsty wybuchły na nowo. Och, pod wielkim stołem stoją przecież straszliwe szeregi niezliczonych myszy, a nad wszystkimi góruje owa obrzydliwa mysz z siedmioma głowami!

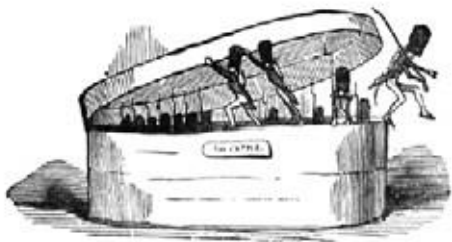
Zobaczmy, co teraz się stanie!



Rozdział V:  
Bitwa

– Zagraj marsza wojennego, doboszu, mój wierny przyjacielu! – zawołał głośno Dziadek do Orzechów, a dobosz zaczął natychmiast bębnić z takim mistrzostwem, że okna oszklonej szafy zadrżały i zadźwięczały.

Wewnątrz szafy wszystko teraz zaczęło trzeszczeć i stukać i Klara ujrzała, jak pokrywki wszystkich pudełek, w których kwaterowali żołnierze Freda, otworzyły się nagle, a oni wyskakiwali z nich po kolei; potem zeskakiwali na dolną półkę, gdzie ustawiali się w błyszczące szeregi. Dziadek do Orzechów biegł wzdłuż frontu i płomiennymi słowami zagrzewał wojsko do boju.



– Gdzie trębacz, dlaczego nikt nie trąbi? – zapytał rozgniewany, po czym zwrócił się do pajaca Pantaleona, który chwiał się na nogach pobladły i z wyciągniętym podbródkiem.

– Generale! – rzekł Dziadek. – Znam twoją odwagę i twoje doświadczenie; tutaj potrzebna jest szybka decyzja i bystra orientacja. Powierzam ci dowództwo nad całą kawalerią i nad artylerią. Koń nie jest ci potrzebny, bo masz tak długie nogi, że i bez niego galopujesz doskonale. Pełń teraz swoją powinność!

Pantaleon włożył natychmiast dwa chude i długie palce do ust i zagwizdał tak przejmująco, jak gdyby stu trębaczy zadęło z całej mocy w mosiężne trąbki. Rozległ się tupot i rżenie i oto wyruszyli kirasjerzy i dragoni Freda, a przede wszystkim świetni nowi huzarzy.

Już po chwili wszyscy stanęli na podłodze. Pułki, jeden za drugim, defilowały przed Dziadkiem do Orzechów z rozwiniętymi chorągwiami i ustawiały się szeroką linią w poprzek pokoju. Skrzypiąc, wyjechały przed front armaty Freda, otoczone kanonierami, i nagle zagrzmiały: „bum, bum, bum!”. Klara widziała, jak okrągłe cukierki trafiały w zbity tłum myszy, które wkrótce zasypał biały pył. Najbardziej jednak ucierpiały one ze strony ciężkiej artylerii, która ustawiła się na podnóżku mamusi i z wielkim hukiem strzelała stamtąd ziarnkami pieprzu, zbijając myszy z nóg.



A one podchodziły coraz bliżej i zdobyły już kilka armat. Podniósł się straszliwy hałas, a dym i kurz prawie całkowicie przesłoniły przed wzrokiem Klary pole walki. Ale to było pewne, że każda ze stron walczyła zaciekle i zwycięstwo ważyło się długo.

Myszy szły do boju coraz to większą gromadą, a małe srebrne kulki, którymi myszy strzelały, osiągały już szafy. Eliza i Gertruda biegały zrozpaczone i załamywały ręce.

– Czyż mam umierać w kwiecie lat, ja, najpiękniejsza z lalek?! – wołała Eliza, a Gertruda krzyczała:

– Czyż po to tak dbałam o siebie, by zginąć w czterech ścianach mego pokoju?!

Potem rzuciły się sobie na szyje i zawodziły tak głośno, że słycać je było pomimo wściekłego hałasu. Pojęcia nie macie, drodzy Czytelnicy, jak straszny powstał harmider!

„Brr – brr – bum – bum, bum – bum, pif, paf, ach – krach, bum – burum” – huczało ze wszystkich stron. Myszy i ich król piszczały i wrzeszczały, a ponad wszystkim górował donośny głos Dziadka do Orzechów, który wydawał mądre rozkazy i kroczył odważnie wśród pułków zasypywanych gradem pocisków.

Pantaleon poprowadził świetny atak kawalerii, który przysporzył mu sławy, ale huzarzy Freda szli niechętnie do boju, gdyż zarzuceni byli przez myszą artylerię wstrętnymi, brzydko pachnącymi kulami, które zostawiały plamy na ich czerwonych mundurach. Pantaleon rozkazał im odejść w lewo i sam zrobił to samo, za nim kirasjerzy i dragoni – skręcili na lewo i wrócili do domu.

Bateria, ustawiona na podnóżku, znalazła się z tego powodu w wielkim niebezpieczeństwie. Ogromny tłum obrzydliwych myszy wpadł na nią z takim impetem, że cały stołeczek wraz z armatami i kanonierami został wywrócony.

Dziadek do Orzechów zaniepokoił się bardzo i wydał rozkaz cofnięcia całego prawego skrzydła. Wiesz przecież, drogi Czytelniku, że taki manewr oznacza właściwie ucieczkę, i razem ze mną martwisz się klęską wiszącą nad armią Dziadka do Orzechów, którego Klara tak bardzo polubiła.

Nie myśl jednak przez chwilę o tym nieszczęściu i spójrz na lewe skrzydło wojsk Dziadka, gdzie wszystko jeszcze jest w zupełnym porządku i wróży świetne nadzieje armii i dowódcy. W czasie najgorętszej walki wypełzły powolutku spod komody tłumy mysiej kawalerii i piszcząc zajadle, rzuciły się z wściekłością na lewe skrzydło dziadkowego wojska. Trafiły jednak na zacięty opór. W porządku, nie bacząc na trudności terenu w postaci listwy od szafy, ukazała się teraz nowa armia lalek pod wodzą dwóch chińskich cesarzy i ustawiła się w regularny czworobok.



Te dzielne, pstre i prześliczne wojska walczyły wytrwale, bohatersko i spokojnie. Z odwagą godną Spartan ten doborowy batalion na pewno wydarłby wrogom palmę zwycięstwa, gdyby nie zdarzył się straszliwy wypadek: oto zuchwały rotmistrz nieprzyjacielski z szaloną odwagą wysunął się naprzód i odgryzł głowę jednemu z chińskich cesarzy, który padając, zabił czterech żołnierzy. Utworzyła się przez to luka, przez którą wdarł się nieprzyjaciel, i wkrótce cały pułk został zagryziony. Niewiele korzyści jednak przyniosła wrogowi ta zbrodnia. Kawalerzyści wojsk mysich, przegryzając dzielnych przeciwników, połykali przy tym przyczepione do nich małe, zadrukowane kartki papieru, przez co natychmiast sami padali trupem.

Czy pomogło to armii Dziadkowej, która, raz zacząwszy się cofać, cofała się coraz dalej i traciła coraz więcej ludzi? Nieszczęsny Dziadek do Orzechów oparł się już o oszkloną szafę, otoczony jedynie mizerną garstką żołnierzy.

– Rezerwa do mnie! Pantaleonie, Skaramuszu, doboszu, gdzie jesteście?!

Tak wołał Dziadek, licząc na to, że nowe oddziały wyjdą jeszcze z szafy.

Istotnie, ukazało się trochę piernikowych mężczyzn i kobiet z Torunia, ze złotymi twarzami, w hełmach i kapeluszach, walczyli oni jednak tak niezdarnie, że nie trafili ani jednego wroga, swojemu wodzowi zaś, Dziadkowi do Orzechów, o mało nie stracili czapki. Nieprzyjacielscy strzelcy odgryźli im nogi, wskutek czego przewrócili się i padając, przygnietli sobą kilku rycerzy z armii Dziadka. Teraz Dziadek był już zupełnie otoczony wrogami.

Położenie jego było straszne. Chciał przeskoczyć przez listwę szafy, ale nogi miał za krótkie, a Eliza i Gertruda leżały zemdlone i nie mogły mu pomóc. Huzarzy i dragoni przebiegali żwawo koło niego i wskakiwali do szafy.

– Konia, ach, konia! Królestwo za konia! – zawołał Dziadek do Orzechów w ostatniej rozpacz. W tej chwili przyskoczyli do niego dwaj nieprzyjacielscy tyralierzy i schwycili go za drewniany płaszczyk, a Król Myszy, wydając

triumfalne piski ze wszystkich siedmiu paszcz, pomknął ku niemu.

Klara nie mogła dłużej panować nad sobą.

– O, mój biedny Dziadku do Orzechów! – krzyknęła, łkając i nie namyślając się nad tym, co czyni, zdjęła z nogi lewy pantofelek i cisnęła nim w najgęstszy tłum myszy, wprost w Króla.

Ale w tej chwili wszystko nagle znikło, a Klara poczuła jeszcze silniejszy ból w lewej ręce i zemdlna upadła na ziemię.



Rozdział VI:  
Choroba



Kiedy Klara zbudziła się z ciężkiego, jakby śmiertelnego snu, leżała w swoim łóżeczku, a jasne, złote słońce zaglądało do pokoju przez zamarzniete szyby. Tuż przy niej siedział jakiś obcy pan, w którym poznała po chwili znajomego chirurga, i usłyszała, jak powiedział z cicha:

– Nareszcie się obudziła!

Matka podeszła do łóżka i obrzuciła Klarę trwożnym, badawczym spojrzeniem.

– Ach, droga mamusiu – wyszeptała Klara – czy te wszystkie okropne myszy już sobie stąd poszły? Czy Dziadek do Orzechów jest uratowany?

– Nie pleć takich głupstw, kochana Klaro! – odpowiedziała matka. – Co wspólnego mają myszy z Dziadkiem do Orzechów? Ale ty jesteś niegrzeczną dziewczynką, bo narobiłaś nam wszystkim wiele kłopotu i napędziłaś strachu. Zawsze tak bywa, kiedy dzieci są uparte i nie słuchają rodziców. Wczoraj bawiłaś się lalkami do późnej nocy. Zachciało ci się spać i, być może, wyskoczyła jakaś myszka – chociaż właściwie nie, ma u nas myszy – i przestraszyła cię; a ty wybiłaś jedną z szyb w szafie i skaleczyłaś się w rękę. Pan doktor, który właśnie wyjmował ci z rany kawałki szkła, jest zdania, że gdyby szkło przecięło ci żyłę, miałabyś na całe życie sztywną rękę, a nawet mogłabyś umrzeć wskutek upływu krwi. Dobrze, że zbudziłam się koło północy i nie znalazłszy cię w łóżku, poszłam do bawialni. Leżałaś zemdlona koło szafy, z zakrwawioną ręką. O mało co i ja nie zemdlałam ze strachu. Wokół ciebie leżało mnóstwo ołowianych żołnierzy Freda, połamane figurki i ludzie z piernika. Dziadek do Orzechów leżał na twojej zranionej ręce, a obok twój lewy pantofelek.

– Ach, mamusiu, mamusiu! – przerwała Klara. – Widzisz sama, to wszystko były ślady wielkiej bitwy lalek z myszami; a ja wtedy dopiero tak bardzo się przeraziłam, kiedy myszy chciały wziąć do niewoli biednego Dziadka do Orzechów, który dowodził wojskami lalek. Wtedy rzuciłam między myszy mój lewy pantofelek, a później już nie wiem, co się stało.



Chirurg mrugnął porozumiewawczo w stronę matki, a ona powiedziała łagodnie:

– Nie myśl już o tym, drogie dziecko, uspokój się, myszy poszły sobie,

a Dziadunio stoi w szafie wesoły i zdrowy.

Teraz wszedł do pokoju pan radca i długo rozmawiał z panem doktorem; potem ujął Klarę za puls i usłyszała, że mówili coś o gorączce. Musiała pozostać w łóżku i brać lekarstwa.

Trwało to przez kilka dni, chociaż, mimo lekkiego bólu w ręce, czuła się zupełnie nieźle. Wiedziała, że Dziadek do Orzechów wyszedł cało z walki, i zdawało jej się nieraz, że słyszy, jak gdyby przez sen jego wyraźny, ale smutny głos:

– Klaro, damo mojego serca, zawdzięczam ci wiele; ale jeszcze więcej możesz dla mnie uczynić w przyszłości.

Klara na próżno starała się odgadnąć, co by to takiego być mogło – nic jednak nie przychodziło jej na myśl.

Klara nie mogła się prawie wcale bawić, gdyż bolała ją ręka, a kiedy zaczynała czytać albo przeglądać książki z obrazkami, ćmiło jej się w oczach. Nudziła się więc bardzo i z niecierpliwością oczekiwała zmierzchu, bo wtedy matka siadała przy jej łóżku i czytała albo opowiadała różne śliczne historyjki. Właśnie mamusia skończyła piękne opowiadanie o księciu na szklanej górze, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł ojciec chrzestny, mówiąc:

– Muszę wreszcie sam zobaczyć, jak się ma chora, zraniona Klara.

Skoro tylko dziewczynka ujrzała ojca chrzestnego w żółtym surduciku, przypomniała sobie w tej chwili wszystko, co się stało owej nocy, kiedy Dziadek do Orzechów przegrał wojnę z myszami. Mimo woli zawołała głośno:

– Ach, ojcie chrzestny, jesteś taki niedobry! Widziałam dobrze, jak siedziałeś na zegarze i przykrywałeś go połami swojego surduta, żeby nie mógł bić głośno, bo inaczej przestraszyłby myszy. Słyszałam dobrze, jak wołałeś Króla Myszy. Dlaczego nie przyszedłeś z pomocą ani Dziadkowi do Orzechów, ani mnie, ty niedobry ojcie chrzestny? Ty jesteś wszystkiemu winien!

Ojciec chrzestny wykrzywił twarz w sposób niezmiernie dziwaczny i zaczął głosem chrapliwym i monotonnym:

Niech zegary mruczają cicho.

Przeszkodziło jakieś licho.

Zegar, zegar, mrucz, zegarze.

Mrucz, zegarze, jak ci każę!

A przy głośnym dzwonków dźwięku,

Stęku, jęku, dźwięku, brzęku,

Nie bądź, lalko, pełna lęku!

Kiedy dzwonki dzwonią w ciszy,

To ucieka stąd Król Myszy.

Leci puchacz, stary kum,

Bim, bum, bum, bim, bum, bum!

Dzwonki dzwonią, słycać brzęk,

A zegary mruca cicho,

Przeszkodziło jakieś licho.

Brzęk i stęk, jęk i dźwięk!

Klara zdrętwiała, z szeroko otwartymi oczami patrzyła na ojca chrzestnego, który wyglądał w tej chwili zupełnie inaczej i jeszcze brzydziej niż zwykle; prawą ręką wymachiwał przy tym jak marionetka, którą się porusza przez pociągnięcie sznurka. Przeraziłaby się jeszcze bardziej, gdyby nie to, że obok stała mamusia, i gdyby Fred, który znalazł się w pokoju, nie przeszkodził sędziemu, śmiejąc się głośno:



– Ojcie chrzestny – wołał – jesteś dzisiaj znowu taki strasznie zabawny! Ruszasz się zupełnie tak samo, jak mój pajac, którego już dawno wyrzuciłem za piec.

Matka miała minę bardzo poważną i rzekła:

– Mój drogi sędzio, to jakiś bardzo dziwny żart; co to właściwie ma znaczyć?

– O nieba! – zawołał ojciec chrzestny ze śmiechem. – Czyż nie znacie tej ślicznej piosenki zegarmistrza, skomponowanej przeze mnie? Zawsze ją śpiewam przy łóżku takich pacjentów jak Klara.

To mówiąc, usiadł przy jej łóżku i ciągnął dalej:

– Nie gniewaj się na mnie, że natychmiast nie wyklulem Królowi Myszy jego siedmiu par oczu, ale to stać się nie mogło. Chcę zamiast tego sprawić ci wielką radość.

Sędzia włożył rękę do kieszeni i powoli, powoli wyciągnął z niej Dziadka do Orzechów, któremu nadzwyczaj zręcznie wprawił wybite zębki i umocował wywichniętą szczękę. Klara głośno krzyknęła z radości, a matka odezwała się z uśmiechem:

– Widzisz teraz, jaki dobry jest ojciec chrzestny dla twojego Dziadka do Orzechów.

– Musisz jednak przyznać, Klaro – przerwał pani radczyni ojciec chrzestny – musisz jednak przyznać, że Dziadek do Orzechów nie ma zgrabnej figurki i że twarzy jego nie można nazwać ładną. Jeżeli chcesz, to ci opowiem, w jaki sposób

do jego rodziny wkradła się taka brzydota. A może znasz już historię księżniczki Pirlipaty, wiemy Mysibaby i zręcznego zegarmistrza?

– Zaraz, ojcie chrzestny! – zawołał nagle Fred. – Wprawilesz zęby Dziadkowi do Orzechów, to prawda, i szczęka również tak mu już nie lata, ale dlaczego zabralesz mu jego pałasz?

– Ejże! – odpowiedział ojciec chrzestny niechętnie. – Wszystko musisz zganić, nic ci się nie podoba, mój chłopcze! Co mnie obchodzi pałasz Dziadka do Orzechów? Wyleczyłem go, więc niech sam znajdzie sobie pałasz, jeśli zechce.

– Masz rację – powiedział Fred – jest dzielny i na pewno potrafi sobie sam znaleźć oręż.

– A więc odpowiedz mi, Klara – zapytał sędzia – czy znasz historię księżniczki Pirlipaty?

– Nie, nie – odrzekła Klara – opowiedz mi ją, drogi ojciec chrzestny!

– Mam nadzieję – rzekła matka – mam nadzieję, kochany sędzio, że ta historia nie będzie tym razem tak straszna jak twoje zwykłe opowiadania.

– Ależ nie, droga pani – odparł sędzia – przeciwnie, to, co opowiem, będzie bardzo zabawne.

– Opowiadaj, opowiadaj! – zawołały dzieci.

I ojciec chrzestny zaczął swą opowieść.

Rozdział VII:  
Bajka o twardym orzechu



Matka Pirlipaty była żoną króla, a więc była królową, Pirlipata zaś już w chwili przyjścia na świat – księżniczką.

Król nie posiadał się z radości, patrząc na małą córeczkę w kołysce, wykrzykiwał wesoło, tańczył, skakał na jednej nodze, wołając raz po raz:

– Hura! Czy widział kto kiedy ładniejsze dziecko niż moja Pirlipatka?!

A wszyscy ministrowie, generałowie, prezydenci i oficerowie sztabu skakali za królem na jednej nodze i wołali głośno:

– Nie, nigdy!

Istotnie, nie można zaprzeczyć, że odkąd świat światem, nigdy jeszcze nie urodziło się dziecko tak piękne, jak księżniczka Pirlipata. Twarzyczka jej była jak gdyby utkana z płatków lilii i róży, oczki błyszczały jak lazur, a śliczne loki wiły się złotymi puklami wokół jej główki. Ponadto Pirlipata przyniosła na świat dwa rzędy perłowych ząbków, którymi już dwie godziny po urodzeniu ugryzła w palec kanclerza, kiedy chciał się jej przyjrzeć z bliska.

– O rety! – krzyknął kanclerz.

Inni twierdzą, że krzyknął: „Oj, oj!” – głosy w tej sprawie są do dziś dnia podzielone.



Dość, że Pirlipata rzeczywiście ugryzła kanclerza w palec, a zachwyceni dworzanie przekonali się, że mała Pirlipata ma również spryt i rozum.

Tak więc wszyscy byli szczęśliwi, tylko królowa zdradzała obawę i niepokój, a nikt nie wiedział dlaczego. Szczególną uwagę zwrócił fakt, że kazała

nadzwyczaj starannie pilnować kołyski Pirlipaty.

W drzwiach ustawiona była straż, dwie niańki miały siedzieć przy samej kołysce, a sześć innych dzień i noc nie opuszczać pokoju. A już zupełnym głupstwem, którego nikt nie mógł pojąć, było to, że każda z sześciu nianiek musiała trzymać na kolanach kota i głaskać go przez całą noc bez przerwy, żeby nie przestawał mruścić. Wy, drogie dzieci, na pewno nie wiecie, dlaczego matka Pirlipaty zastosowała te wszystkie środki ostrożności, ale ja wiem i zaraz wam opowiem.



Zdarzyło się kiedyś, że na dworze ojca Pirlipaty zebrało się wielu królów i książąt; przyjęcie było wspaniałe. Urządzono wiele zabaw rycerskich, grano komedie i tańczono. Król chciał pokazać, że nie brak mu srebra ani złota, i sięgnął głęboko do skarbca królewskiego, żeby czymś niezwykłym olśnić swoich gości.

Nadworny astronom właśnie wyczytał w gwiazdach, że nadeszła odpowiednia pora na święto kielbasy. Król zarządził rozpoczęcie uroczystości, wsiadł do powozu i zaprosił osobiście wszystkich królów i książąt, ale tylko na łyżkę zupy, chciał bowiem zaskoczyć ich niespodzianką, którą im przygotował. A do królowej odezwał się przyjaźnie:

– Wiesz przecież, moje kochanie, jak ja bardzo lubię kielbasę!

Królowa zrozumiała, co król chciał przez to powiedzieć; znaczyło to, że miała sama, jak już nieraz bywało, zająć się sporządzaniem kielbas. Główny skarbnik musiał natychmiast wydać do kuchni ogromny złoty kocioł do kielbas i srebrne garnki. Rozpalono wielki ogień drzewem sandałowym, królowa opasała się swoim kuchennym fartuchem z adamaszku i wkrótce już unosiła się z kotła słodka woń gotowanej kielbasy. Ten cudowny zapach dotarł aż do sali, w której obradowali królowie; król, owładnięty zachwytem, nie umiał zachować zimnej krwi.



– Przepraszam, panowie! – zawołał. Pobiegł szybko do kuchni, uścisnął królową, zamieszał w kotle swoim złotym berłem i wrócił uspokojony do sali obrad.

Właśnie nadeszła najważniejsza chwila, kiedy słońinę miano pokrajać w kostki, żeby ją potem przysmażyć na srebrnym ruszcie.

Damy dworu odstąpiły na bok, bo królowa chciała własnoręcznie wykonać tę czynność: tak wielkie było jej poświęcenie i tak wielki szacunek dla królewskiego małżonka. Ale w chwili kiedy słońina zaczęła się smażyć, dał się słyszeć cichutki, piskliwy głosik:

– Daj mi też, siostrze, trochę słoninki! Ja także chciałabym ucztować, bo i ja jestem królową; daj mi troszeczkę słoniny!

Królowa wiedziała dobrze, że to był głos Mysibaby. Pani Mysibaba mieszkała już od wielu lat w pałacu królewskim. Twierdziła ona, że jest spokrewniona z rodziną królewską i że jest królową Mysiego Państwa; miała też pod piecem wspانياły dwór. Królowa była kobietą dobrą i miłosierną i chociaż nie chciała uznać Mysibaby za królową i za swoją siostrę, postanowiła jednak i ją poczęstować w dniu tak uroczystym. Dlatego też zawołała:

– Chodź tu, moja droga pani Mysibabo, pozwalam ci połasować trochę słoninki!

Mysibaba natychmiast wyskoczyła wesoło spod pieca i zręcznie małymi łapkami chwyciła kawałki słoniny, które jej podawała królowa. Nagle jednak zaczęli wyskakiwać spod podłogi kumowie i kумы pani Mysibaby, ukazało się także jej siedmiu synów, wielkich łobuzów, i wszyscy zaczęli pożerać słońinę. Przerażona królowa nie mogła ich odpędzić. Na szczęście przybiegła główna dama dworu, której udało się wygonić natrętnych gości i uratować resztę słoniny. Zawołano nadwornego matematyka, który sprytnie rozdzielił te resztki na wszystkie kielbasy.

Zagrzmiały trąby i bębny; zgromadzeni królowie i książęta, wystrojeni odświętnie, zaczęli schodzić się na ucztę. Król przyjął ich z serdeczną gościnnością, jako pan tej ziemi, zajął pierwsze miejsce za stołem w koronie na



głowie i z berłem w rękę. Już podczas spożywania kielbas z wątróbek zauważono, że król bladł coraz bardziej i wznosił oczy ku niebu. Ciche westchnienia wyrwały się z jego piersi i zdawało się, że wielki ból szarpie jego serce. Kiedy zjawyły się kiszki, opadł z głośnym łkaniem na oparcie fotela, zakrył twarz rękami, wyrzekał i jęczał.



Wszyscy porwali się na nogi, a nadworny medyk starał się na próżno pochwyć nieszczęsnego króla za puls. Wreszcie po zastosowaniu różnych silnych środków, jak palone pierze i inne podobne, król przyszedł trochę do siebie i wyrzekł ledwie dosłyszalnym szeptem:

– Za mało słoniny!

Zrozpaczona królowa rzuciła mu się do nóg i płacząc, wołała:

– O mój nieszczęśliwy, o biedny królewski małżonku! Jak wielkie musisz znosić cierpienia! Tutaj u twoich nóg leży winna, ukarż ją surowo, ukarż! Ach, to Mysibaba z siedmioma synami, jej kumowie i kumy pożarli słoninę, a... – W tym miejscu królowa przechyliła się w tył, upadła i zemdlała.

Król pełen gniewu zerwał się i zawołał głośno:

– Najwyższa damo dworu, jakże to się stało?!

Najwyższa dama dworu opowiedziała o wszystkim, czego była świadkiem, a król postanowił zemścić się na Mysibabie i na jej rodzinie, która wyjadła mu z kielbas słoninę. Zwołano tajną radę dworu i postanowiono wytoczyć proces Mysibabie, ale ponieważ król obawiał się, że tymczasem Mysibaba pożre mu więcej jeszcze słoniny, cała sprawa powierzona została nadwornemu zegarmistrzowi. Człowiek ten, który, tak jak ja, nazywał się Krystian Elias Droselmajer, przyrzekł raz na zawsze wypędzić Mysibabę z pałacu za pomocą niezwykle mądrze obmyślonych środków. Istotnie wynalazł on małe, misterne maszynki, w których zawieszono były na nitce kawałki smażonej słoniny. Maszynki te ustawił dokoła mieszkania Mysibaby.

Mysibaba jednak była o wiele za mądra, żeby nie zrozumieć podstępu. Niestety, wszystkie jej przestrogi i napomnienia nie zdały się na nic: idąc za

cudownym zapachem słoniny, siedmiu synów Mysibaby, a także jej kumowie i kumy, weszli do maszynek sporządzonych przez zegarmistrza, z chwilą jednak gdy chcieli złapać słoninę, kratka zapadła i spostrzegli, że są w więzieniu. Zaniesiono ich do kuchni i skazano na śmierć.

Pani Mysibaba z garstką pozostałych opuściła to miejsce kaźni. Smutek, rozpacz i pragnienie zemsty napęły jej serce. Dwór nie posiadał się z radości, ale królowa była niespokojna, bo знаła charakter Mysibaby i wiedziała dobrze, że pomści śmierć swoich synów i współpracowników.



Istotnie, pewnego dnia, właśnie w chwili gdy królowa sporządzała dla swojego królewskiego małżonka siekanekę z płuczek cielęcych, którą bardzo lubił, ukazała się Mysibaba i odezwała się:

– Moi synowie, moi kumowie i kumy nie żyją! Uważaj, królowo, żeby królowa myszy nie zagryzła ci twojej księżniczki, uważaj dobrze!

To powiedziawszy, znikła i nie pokazała się więcej, a królowa była tak przerażona, że upuściła siekanekę do ognia; w ten sposób już po raz drugi Mysibaba zepsuła królowi ulubione danie, toteż gniewał się bardzo.

– Ale dosyć na dzisiaj – rzekł ojciec chrzestny – dokończę wam kiedy indziej. – Klara, którą historia ta bardzo zainteresowała i nasunęła różne domysły, prosiła ojca chrzestnego, żeby opowiadał dalej, ale on nie dał się namówić, tylko wstał i powiedział:

– Co za dużo, to niezdrowo! Dalszy ciąg jutro.

Kiedy sędzia chciał już opuścić pokój, Fred zapytał go:

– Powiedz mi, ojciec chrzestny, czy to rzeczywiście prawda, że tyś wynalazł pułapki na myszy?

– Jak można zadawać takie głupie pytania! – zawołała matka, ale ojciec chrzestny uśmiechnął się tajemniczo i odparł:

– Jestem przecież świetnym zegarmistrzem, jakże możecie myśleć, że nie umiałbym zrobić pułapki na myszy?



Rozdział VIII:  
Dalszy ciąg historii  
o twardym orzechu

– Teraz już wiecie, drogie dzieci – zaczął ojciec chrzestny następnego wieczoru – teraz już wiecie, dlaczego królowa tak bacznie kazała pilnować uroczej księżniczki Pirlipaty. Czyż nie miała słuszności, obawiając się, że Mysibaba spełni swoją groźbę, że powróci i na śmierć zagryzie księżniczkę?

Pułapki sporządzone przez zegarmistrza nie zdały się na nic, gdyż Mysibaba była mądra i przebiegła, a nadworny astronom, który był zarazem tajnym wróżbitą i astrologiem, orzekł, że jedynie rodzina kota Mruka może nie dopuścić Mysibaby do kołyski. Dlatego też kazano każdej z nianiek trzymać na kolanach jednego potomka tej rodziny i delikatnym głaskaniem uprzyjemniać ciężką służbę kotom, które piastowały w państwie godność tajnych radców.

Raz o północy jedna z głównych dozorczyń zbudziła się nagle.

Wszystko wokół pogrążone było w głębokim śnie, grobowej ciszy nie przerywało nawet mruczenie kotów i słychać było tylko cichutkie stukanie kornika. Można sobie jednak wyobrazić przestрах dozorczyń, gdy nagle ujrzała ogromną, wstrętną mysz, która wspiąwszy się na tylne nóżki, zbliżyła swoją ohydną głowę do twarzy księżniczki.



Z okrzykiem przerażenia zerwała się z miejsca. Wszyscy zbudzili się ze snu, ale Mysibaba (ona to bowiem pochylała się nad kołyską księżniczki) uciekała już szybko w stronę pieca. Radcowie rzucili się za nią w pogoń, ale było za późno. Mysibaba znikła w szczelinie podłogi.

Hałas zbudził Pirlipatkę, która zaczęła płakać głośno i żałośnie.



– Żyje, dzięki Bogu! – zawołały nianki, ale jakież było ich przerażenie, gdy spojrzały na księżniczkę, która jeszcze wczoraj była tak delikatną i śliczną dzieciną! Zamiast zgrabnej główki z jasnymi lokami i białoróżową twarzyczką miała wielką bezkształtną głowę, osadzoną na drobniutkim, pokreconym tułowiu; błękitne oczki stały się zielone, wypukłe i pozbawione wszelkiego wyrazu, a usta

wydłużyły się i sięgały od ucha do ucha.

Królowa traciła zmysły z żalu i rozpacz, a gabinet królewski musiano wytapetować watą, bo król raz po raz walił głową o ścianę, jęcząc rozdzierającym głosem:

– Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów!

Właściwie król sam był sobie winien, gdyż lepiej było zjeść kielbasę bez słoniny, a Mysibabę i jej rodzinę zostawić spokojnie pod piecem; ale królewski ojciec Pirlipaty nie myślał o tym wcale, tylko przypisywał całą winę zegarmistrzowi i sztukmistrzowi, Krystianowi Eliaszowi Droselmajerowi, rodem z Norymbergi. Dlatego też wydał następujący rozkaz: nadworny zegarmistrz ma w ciągu czterech tygodni przywrócić księżniczkę Pirlipatę do dawnego stanu albo przynajmniej wskazać pewny i niezawodny środek, za pomocą którego dałoby się tego dokonać. W przeciwnym razie zginie nędzną śmiercią pod toporem kata.

Zegarmistrz przeląkł się bardzo, ale ufając swojej sztuce i swemu szczęściu, przystąpił natychmiast do pierwszej czynności, która wydawała mu się konieczna. Oto rozebrał Pirlipatę na drobne kawałeczki, odśrubował jej rączki i nóżki. Po dokonaniu tych zabiegów orzekł, że księżniczka będzie z wiekiem coraz bardziej potworna. Zegarmistrz był zupełnie bezradny. Złożył Pirlipatę z powrotem i siedząc u jej kołyski, której nie wolno mu było opuszczać, pograżył się w czarnych myślach.

Pewnej środy, gdy rozpoczął się już czwarty tydzień tego czuwania, król, spojrzawszy na zegarmistrza gniewnym wzrokiem, pogroził mu berłem i zawołał:

– Krystianie Eliaszu Droselmajer, jeżeli nie wyleczysz księżniczki, umrzesz!

Zegarmistrz zaczął głośno płakać, a księżniczka wesoło gryzła orzechy. Wówczas dopiero spostrzegł, że Pirlipata niezwykle lubi orzechy i że przysłała na świat z ząbkami. Rzeczywiście, natychmiast po zmianie postaci zaczęła krzyczeć i krzyczała tak długo, dopóki nie wpadł jej orzech do ręki; wtedy rozgryzała go, zjadała jądro i uspokajała się natychmiast.

– Widzę wrota wiodące do tajemnicy! Zastukam i otworzą się! – zawołał nagle zegarmistrz.

Poprosił zaraz o pozwolenie rozmowy z nadwornym astronomem. Gdy zaprowadzono go do niego pod silną eskortą, obaj ze łzami w oczach padli sobie w objęcia, bo żyli w serdecznej przyjaźni.

Potem zamknęli się w tajemnym gabinecie i przejrzeni mnóstwo książek traktujących o tajemniczych rzeczach. Nadeszła noc, nadworny astronom długo śledził gwiazdy i przy pomocy Krystiana Eliasza Droselmajera, który i na tej sztuce znał się doskonale, przepowiedział przyszłość księżniczki Pirlipaty.

Trudna to była praca, ale wreszcie – o, wielka radości! – wyczytał wyraźnie, że księżniczka Pirlipata, ażeby zrzucić czary i powrócić do dawnej, pięknej postaci, powinna zjeść słodkie jądro orzecha Krakatuka.

Orzech Krakatuka miał tak twardą skorupę, że czterdziestofuntowa armata mogła po nim przejechać, nie rozbijając go. Ów „twardy orzech do zgryzienia” miał być w obecności księżniczki rozgryziony przez mężczyznę, który nigdy się nie golił i nie nosił butów, a jądro miało jej być podane przez niego z zamkniętymi oczami. Dopiero po wykonaniu siedmiu kroków w tył bez jednego potknięcia wolno mu będzie otworzyć oczy.



Trzy dni i trzy noce bez przerwy pracował Krystian Eliasz Droselmajer razem z astronomem. Nadeszła sobota i król spożywał właśnie obiad, siedząc za stołem, kiedy nagle zegarmistrz, który miał być ścięty w niedzielę z samego rana, przybiegł wesóły i szczęśliwy i oznajmił królowi, że istnieje środek, który przywróci Pirlipacie utraconą urodę.

Uradowany król uściskał go mocno i obiecał pałasz diamentowy, cztery ordery i dwa odświętne tuzurki.



– Zaraz po obiedzie – dodał uprzejmie – weźmiemy się do roboty. Postaraj się, kochany zegarmistrzu, żeby ten niegolony młody człowiek był tu pod ręką

z orzechem Krakatuka; nie daj mu przedtem pić wina, żeby się nie potknął, robiąc jak rak siedem kroków w tył. Potem może pić sobie do woli!

Zegarmistrz zaniepokoił się bardzo przemową królewską i odrzekł, nie bez wahania i lęku, że wprawdzie sposób został znaleziony, ale orzecha Krakatuka i młodego człowieka, który ma go rozgryźć, trzeba dopiero szukać i że jest bardzo niepewne, czy orzech i Dziadka do Orzechów w ogóle uda się znaleźć. Król, pałając gniewem, jął wywijać berłem nad ukoronowaną głową i ryknął jak lew:

– A więc będziesz ścięty!



Na szczęście dla zegarmistrza, znajdującego się w tak wielkich opałach, król był w dobrym humorze, bo bardzo mu tego dnia smakowało jedzenie; przychylił więc łaskawie ucha do próśb królowej, która wzruszona wielce losem zegarmistrza wspaniałomyślnie wstawiła się za nim.

Zegarmistrz zdobył się więc na odwagę i tłumaczył królowi, że dał już odpowiedź na pytanie, w jaki sposób można wyleczyć księżniczkę, a tym samym uratował swe życie. Król nazwał to głupim wykrętem i zawracaniem głowy, ale po wypiciu kieliszka gorzkiej wódki wydał rozkaz, żeby zegarmistrz wraz z astronomem natychmiast ruszyli w drogę i nie wazyli się wrócić bez orzecha Krakatuka w kieszeni.

– Młodzieniec, który rozgryzie orzech – twierdziła królowa – znajdzie się na pewno, jeśli kilkakrotnie ukaże się ogłoszenie w pismach krajowych i zagranicznych...

Sędzia urwał i obiecał, że skończy opowiadanie następnego wieczoru.



Rozdział IX:  
Koniec bajki  
o twardym orzechu



Następnego wieczoru, kiedy tylko zapalono świece, zjawił się ojciec chrzestny i opowiadał dalej:

– Nadworny zegarmistrz i astronom od piętnastu lat byli już w drodze, a jeszcze nie natrafili na ślad orzecha Krakatuka. Przez całe cztery tygodnie mógłbym wam opowiadać, moje kochane dzieci, jakie kraje zwiedzili i jakie niezwykle mieli przygody; ale nie uczynię tego, powiem wam tylko, że Droselmajera opanowała wreszcie wielka tęsknota za ukochaną Norymbergą. Tęsknotę tę poczuł najsilniej pewnego dnia, kiedy siedział ze swoim przyjacielem w Azji, w głębi wielkiego lasu, i palił fajeczkę.

Za Norymbergą, miastem miłym,  
Z całego serca zatęskniłem!  
Kto był we Francji, w Anglii, wszędzie,  
Ten jeszcze za nią tęsknić będzie,  
Za Norymbergą miłą moją,  
Gdzie piękne domy rzędem stoją.

Tak skarżył się zegarmistrz, astronom zaś zaczął także jęczeć żałośnie i tak głośno, że słyhać go było, jak Azja długa i szeroka.



Opanował się jednak wkrótce, osuszył łzy, które kapały mu z oczu, i rzekł:

– Ale czemuż, szanowny kolego, siedzimy tu i płaczemy? Dlaczego nie udamy się do Norymbergi? Czyż nie jest nam wszystko jedno, gdzie będziemy szukać tego fatalnego orzecha Krakatuka?

– To prawda – odrzekł pocieszony zegarmistrz.

Wstali więc obaj, wyrzucili z fajek resztki popiołu, opuścili gęsty las w głębi Azji i udali się prościutko do Norymbergi. Zegarmistrz pobiegł natychmiast do swojego kuzyna, tokarza lalek, lakiernika i złotnika, Krzysztofa Zachariasza Droselmajera, którego nie widział od wielu, wielu lat, po czym opowiedział mu historię księżniczki Pirlipaty, Mysibaby i orzecha Krakatuka. Krzysztof Zachariasz aż klaskał w ręce z wielkiego zdumienia i wołał raz po raz:

– Ach, kuzynie, kuzynie! Cóż to za dziwaczna historia!

Zegarmistrz opowiadał dalej o przygodach w podróży; o tym, że mieszkał przez dwa lata u Króla Daktylowego, że został sromotnie przepędzony przez Księcia Migdałowego i że na próżno informował się w Towarzystwie Przyrodników w Wiewiórowie – słowem, że nigdzie nie udało mu się natrafić chociażby na ślad orzecha Krakatuka. W trakcie tego opowiadania Krzysztof Zachariasz trząsał palcami, skakał na jednej nodze, mlaskał językiem, a wreszcie zawołał:

– Hm, hm! To by był dopiero szczęśliwy zbieg okoliczności!

Wreszcie zaczął rzucać pod sufit czapeczkę i perukę, ścisnąć gwałtownie kuzyna i rzekł:

– O mój kuzynie, mój drogi kuzynie, jesteś uratowany, bo jeżeli się nie mylę, posiadam właśnie orzech Krakatuka!



To mówiąc, wyciągnął pudełko i wyjął z niego złożony orzech średniej wielkości.

– Widzisz – odezwał się, pokazując orzech kuzynowi – sprawa przedstawia się następująco: Przed wielu laty, wkrótce po Bożym Narodzeniu, zjawił się tu jakiś obcy człowiek z workiem orzechów na sprzedaż. Właśnie przed moim sklepem z lalkami napadł na niego miejscowy sprzedawca orzechów, który nie życzył sobie, żeby w pobliżu ktoś inny sprzedawał orzechy. Wtedy człowiek ten, by lepiej się bronić, zdjął worek z pleców i postawił go na ziemi. W tej chwili nadjechał wysoko naładowany wóz ciężarowy i zmiążdżył wszystkie orzechy oprócz jednego, który mi obcy sprzedawca zaofiarował pod warunkiem, że zapłacę za niego złotą monetę dwudziestomarkową z 1720 roku. Nie mogłem wprost zrozumieć, jak to się stało, że właśnie taką monetę znalazłem w kieszeni. Kupiłem więc orzech i pozłociłem go, sam nie wiedząc, dlaczego tak drogo za niego zapłaciłem i dlaczego tak wielką wagę do niego przykładam.

Wątpliwości co do tego, czy orzech tokarza lalek był istotnie orzechem Krakatuka, ustąpiły, kiedy nadworny astronom zeszkrobał ostrożnie pozłotę: na

orzechu widniało słowo „Krakatuka” wyryte w korze chińskimi literami.



Wielka była radość podróżnych, a tokarz był najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Zegarmistrz bowiem zapewnił go, że przyszłość jego od tej chwili jest zabezpieczona, że będzie pobierał pokaźną pensję, a w dodatku całe złoto do swego warsztatu będzie otrzymywał bezpłatnie.

Zegarmistrz i astronom przywdziali już swoje nocne czepki i chcieli udać się na spoczynek, gdy astronom odezwał się nagle:

– Najdroższy kolego, szczęśliwe przypadki idą parami. Wierz mi, żeśmy znaleźli nie tylko orzech Krakatuka, lecz także młodego człowieka, który go rozgryzie i księżniczce Pirlipacie poda jądro piękności. Jest nim syn twojego kuzyna. Nie pójdę spać – ciągnął dalej uradowany – gdyż pragnę jeszcze tej nocy przepowiedzieć młodzieńcowi jego przyszłość.

Mówiąc to, zerwał z głowy swój nocny czepek i natychmiast przystąpił do obserwacji gwiazd.

Syn tokarza lalek był ślicznym i zgrabnym młodzieńcem, który jeszcze nigdy w życiu nie golił się i nie nosił butów. Był wprawdzie za czasów wczesnej młodości pajacem na kilku Gwiazdkach, ale nie było tego wcale po nim widać. W czasie świąt Bożego Narodzenia nosił piękny, czerwony tużurek obramowany złotem, pałasz przy boku, kapelusz pod pachą i miał kunsztowną fryzurę zakończoną z tyłu woreczkiem do włosów. Stał tak, cały błyszczący, w sklepie swego ojca i rozgryzał orzechy młodym dziewczętom, które ochrzciły go ślicznym imieniem Dziadka do Orzechów.

Nazajutrz rano uszczęśliwiony astronom objął zegarmistrza za szyję i zawołał:

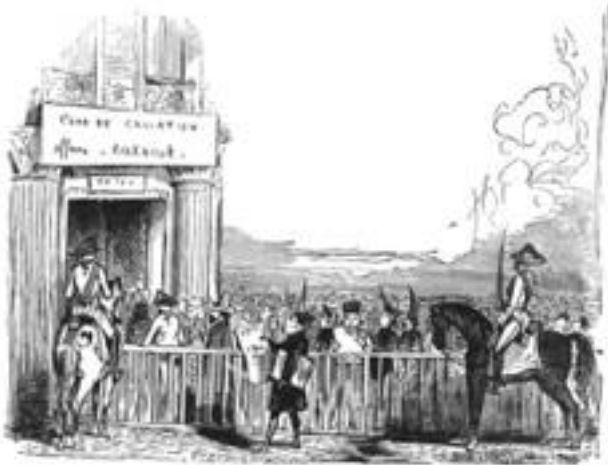


– Mamy go, mamy, to na pewno on! Ale nie wolno nam, kochany kolego, zaniedbać dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze, musimy dorobić twojemu drogiemu siostrzeńcowi mocny drewniany warkocz i połączyć go z dolną szczęką w ten sposób, żeby można ją było za pomocą warkocza silnie naciskać. Po wtóre zaś, musimy, po powrocie do stolicy, starannie ukryć, żeśmy przywieźli młodzieńca, który ma rozgryźć orzech Krakatuka, gdyż powinien on zjawić się dopiero po pewnym czasie. Wyczytałem bowiem w przepowiedni, że najpierw wielu młodych ludzi połamie sobie na tym orzechu zęby bez skutku. Wtedy król obieca księżniczkę i następstwo tronu temu, kto rozgryzie orzech i przywróci księżniczce utraconą urodę.



Kuzyn tokarz ucieszył się niezmiernie, słysząc, że syn jego ma poślubić księżniczkę Pirlipatę i zostać księciem, a nawet królem; oddał go więc bez zastrzeżeń w ręce wysłanników. Warkocz, który zegarmistrz przyprawił swojemu młodemu i obiecującemu siostrzeńcowi, spełniał doskonale swe zadanie: młodzieniec rozgryzał bez trudu najtwardsze pestki brzoskwini.

Zegarmistrz i astronom, natychmiast po znalezieniu orzecha Krakatuka, zawiadomili o tym stolicę. Wydano zaraz odpowiednie rozkazy i kiedy nasi podróżnicy przybyli ze swym niezawodnym środkiem na odzyskanie urody, zebrało się tam już wielu dorodnych młodzianów, a nawet kilku książąt, którzy dowierając swoim zdrowym zębom, chcieli podjąć próbę odczarowania księżniczki.



Wysłannicy przerazili się na widok Pirlipaty. Drobniutki tułów z małymi rączkami ugiął się pod ciężarem wielkiej i nieforemnej głowy. Brzydotę twarzy potęgowała biała, bawełniana broda okalająca usta i podbródek. Wszystko złożyło się tak, jak to przewidział nadworny astronom w swej przepowiedni. Jeden za drugim podchodziły żółtodzioby i łamały sobie zęby i szczęki o orzech Krakatuka, nie przynosząc tym najmniejszej ulgi księżniczce; każdy z nich, wynoszony przez dentystów, wzdychał bliski zemdlenia:

– To był twardy orzech do zgryzienia.

A kiedy król z rozpaczą w sercu obiecał córkę i królestwo temu, kto odczaruje księżniczkę, wystąpił grzeczny i delikatny syn Krzysztofa Zachariasza Droselmajera i poprosił o pozwolenie przystąpienia do zawodów. Żaden z młodzieńców nie podobał się księżniczce Pirlipacie tak, jak syn tokarza lalek. Przycisnęła do serca swoje drobne rączki i westchnęła głęboko:

– Ach, gdyby to on rozgryzł orzech Krakatuka i został moim mężem!



Młody Droselmajer złożył grzeczny ukłon królowi i królowej, a także księżniczce Pirlipacie, wziął z rąk najwyższego mistrza ceremonii orzech Krakatuka, włożył go między zęby, pociągnął mocno za warkocz i – krach! – skorupa rozpadła się na drobne kawałki. Zgrabnie oczyścił jądro orzecha z przylegającej skórki i z dworskim ukłonem podał je królownie; potem zamknął oczy i począł się cofać.

Księżniczka natychmiast połknęła orzech i – o cudzie! – cała brzydota znikła, a na miejscu potworka stała dziewczica anielskiej urody, o twarzy jak gdyby utkanej z płatków lilii i róży, o wspaniałych błękitnych oczach i pysznych złocistych włosach. Głosy trąb i bębnow zmieszały się z okrzykami radości wznoszonymi przez tłum. Król, a z nim cały dwór, tańczył w kółko na jednej nodze, jak w dniu, w którym urodziła się Pirlipata, a królową musiano pokropić wodą kolońską, bo z radości i zachwyty wpadła w omdlenie.



Głośny hałas zmieszał nieco młodego Droselmajera, który odliczył kroki, lecz zdołał się jeszcze opanować. Właśnie wysunął w tył prawą nogę, by uczynić siódmy krok, gdy nagle z odrażającym piskiem wyskoczyła ze szpary Mysibaba, a Droselmajer, który w tej chwili właśnie miał stąpnąć na podłogę, przydeptał Misibabę i potknął się tak nieszczęśliwie, że o mało nie upadł.

O losie straszliwy! Piękny młodzieniec przekształcił się nagle w takiego samego potwora, jakim była przed chwilą księżniczka Pirlipata! Tułów jego, drobny i wiotki, zaledwie mógł utrzymać wielką bezkształtną głowę z ogromnymi, wypukłymi oczami i szeroko rozdziawionymi ustami. Zamiast warkocza zwisał mu z ramion wąski drewniany płaszczyk połączony mechanizmem z dolną szczęką.

Zegarmistrz i astronom przerażili się straszliwie, ale po chwili spostrzegli, jak Mysibaba wiła się w kałuży krwi na podłodze. Złośliwość jej została ukarana, bo młody Droselmajer tak mocno nadepnął na nią końcem swojego pantofla, że wyzionęła ducha. W lęku przedśmiertnym piszczała i kwiczała żałośnie:

Twardy orzechu Krakatuka,  
Przez ciebie śmierć już do mnie puka!  
Pi – pi, pi – pi!  
Lecz Dziadek długo nie pożyje,  
Bo Mysi Król go wnet zabije.  
Niestraszne mu złośliwe Dziadki,  
On pomści śmierć swej drogiej matki.  
Hi – hi, pi – pi, kwik – kwik!

Z tym okrzykiem umarła Mysibaba i ciało jej zostało wyniesione przez nadwornego palacza.

Nikt się nie troszczył o młodego Droselmajera, ale królowna przypomniała ojcu jego obietnicę i król rozkazał przywołać bohatera. A gdy nieszczęśliwy wystąpił z tłumu w pełni swojej brzydoty, królowna zakryła twarz obiema rękami i zawołała:

– Precz, precz z tym wstrętnym Dziadkiem do Orzechów!

Marszałek dworu schwycił go za drobne ramiona i wyrzucił za drzwi. Król był oburzony na zegarmistrza i astronoma, że takiego potwora chcieli przeznaczyć mu na zięcia, i kazał im na zawsze opuścić stolicę.

Taki obrót rzeczy nie był przewidziany w przepowiedni. Astronom zaczął więc na nowo obserwować gwiazdy i wyczytał z nich, że syn tokarza lalek pomimo swego potwornego wyglądu zostanie księciem, a nawet królem. Dopiero wówczas jednak będzie mógł odzyskać swą postać, gdy zabije siedmiogłowego syna Mysibaby, Króla Myszy, i gdy pomimo jego brzydoty pokocha go pewna dama. I rzeczywiście tak się stało, gdyż podczas świąt Bożego Narodzenia widziano młodego Droselmajera w Norymberdze w sklepie jego ojca, wprawdzie w postaci Dziadka do Orzechów, jednak jako prawdziwego księcia.

Oto, moje dzieci, koniec bajki o twardym orzechu. Wiecie już teraz, dlaczego ludzie mówią tak często: „To był twardy orzech do zgryzienia” i dlaczego dziadki do orzechów bywają takie brzydkie.

Na tym sędzia zakończył swe opowiadanie. Klara była zdania, że księżniczka Pirlipata okazała się niedobrym i niewdzięcznym stworzeniem. A ojciec chrzestny orzekł, że jeżeli Dziadek do Orzechów jest dzielnym mężczyzną, nie będzie sobie robił z Królem Myszy wiele ceregieli i wkrótce zdoła odzyskać swą dawną, piękną postać.





Rozdział X:  
Wuj i siostrzeniec

Jeżeli zdarzyło się kiedy któremuś z moich miłych Czytelników skaleczyć się szkłem, to sam wie najlepiej, jak to boli i jak przewlekłe jest gojenie. Tak było też i z Klarą: przez cały prawie tydzień musiała leżeć w łóżku, bo dostawała zawrotów głowy, kiedy tylko próbowała się podnieść.

Wreszcie jednak wyzdrowiała zupełnie i mogła jak dawniej wesoło biegać po pokojach. W oszklonej szafie było prześlicznie, bo stały tam nowe drzewa, kwiaty, domki i pięknie wystrojone lalki.



Przede wszystkim odnalazła Klara swojego Dziadka do Orzechów, który uśmiechał się do niej z drugiej półki zupełnie zdrowymi zębami. Gdy przyjaźnie oglądała swojego przyjaciela, przysła jej nagle do głowy niepokojąca myśl, że wszystko to, co opowiadał ojciec chrzestny, jest właściwie historią Dziadka do Orzechów oraz jego porachunków z Mysibabą i jej synem. Dziadek do Orzechów jest na pewno młodym panem Droselmajerm, synem tokarza lalek, miłym, lecz, niestety, zaczarowanym przez Mysibabę siostrzeńcem ojca chrzestnego Droselmajera. Bo ani na chwilę, słuchając bajki, nie wątpiła Klara, że sędzia Droselmajer był właśnie owym zręcznym zegarmistrzem na dworze ojca Pirlipaty!

– Ale dlaczego, dlaczego wuj ci nie dopomógł? – skarżyła się Klara, bo coraz silniej wierzyła, że bitwa, której była świadkiem, toczyła się o państwo i koronę Dziadka do Orzechów. Czyż wszystkie inne lalki nie byli to jego poddani i czyż nie sprawdziła się przepowiednia nadwornego astronoma, że Dziadek do Orzechów zostanie królem państwa lalek?

Rozważając to wszystko, Klara uważała, że Dziadek do Orzechów i jego poddani powinni zacząć żyć i poruszać się tylko dlatego, że ona tego pragnie. Ponieważ jednak tak się nie stało i wszystko w szafie było martwe i nieruchome, Klara przypisała ten stan rzeczy czarom Mysibaby i jej siedmiogłowego syna.

– Chociaż pan nie może poruszyć się ani do mnie przemówić, kochany panie Droselmajer – odezwała się Klara – wiem jednak na pewno, że pan mnie dobrze rozumie i jest pan przekonany o mojej życzliwości. Niech pan liczy na moje poparcie, gdyby mogło ono panu na coś się przydać. Przede wszystkim poproszę wujaszka, żeby dopomógł panu swoją sztuką.



Dziadek do Orzechów był wciąż martwy i nieruchomy, ale Klarze wydało się nagle, że lekkie westchnienie wyfrunęło z szafy i zadzwoniło o szybę.

Klara złąkla się nieco, ale mimo wszystko było jej przyjemnie.

Zapadł już zmierzch, do pokoju wszedł radca z ojcem chrzestnym. Wkrótce Ludwika nakryła stół i cała rodzina zebrała się przy herbacie, żartując i rozmawiając wesoło. Klara przyniosła po cichutku swój mały fotelik i siadła u nóg ojca chrzestnego. W pewnej chwili, gdy przy stole zapanowało milczenie, Klara podniosła duże, niebieskie oczy na sędziego i rzekła:

– Wiem już teraz, drogi ojczy chrzestny, że mój Dziadek do Orzechów jest twoim siostrzeńcem, młodym Droselmajerem, synem tokarza lalek. Sprawdziła się przepowiednia twojego przyjaciela, astronoma, gdyż istotnie siostrzeniec twój został księciem, a nawet królem. Ale ty wiesz przecież, że jest on na stopie wojennej z Królem Myszy, synem Mysibaby. Dlaczego mu więc nie pomożesz?

Klara raz jeszcze opowiedziała o całym przebiegu bitwy, tak jak ją widziała. Wybuchy śmiechu matki i Ludwiki przerwały jej opowiadanie.

Tylko Fred i ojciec chrzestny zachowali powagę.

– Skąd tej dziewczynie takie dziwne myśli przychodzą do głowy? – spytał radca.

– Widocznie – odpowiedziała matka – ma bujną wyobraźnię, są to na pewno sny wywołane chorobą.

– To wszystko nieprawda! – rzekł Fred. – Moi czerwoni huzarzy nie są przecież takimi tchórzami, do stu par diabłów!

Tylko ojciec chrzestny uśmiechał się tajemniczo.

Posadził sobie na kolana małą Klarę i rzekł łagodniej niż zwykle:

– Tobie, Klaro, więcej jest dane niż mnie i nam wszystkim razem. Jesteś jak Pirlipata urodzoną księżniczką, bo panujesz nad wspaniałym, słonecznym państwem baśni. Ale dużo będziesz miała zgryzot, jeżeli zajmiesz się biednym, zniekształconym Dziadkiem do Orzechów, bo Król Myszy prześladowuje go na każdym kroku. Lecz nie ja, tylko ty, ty jedna możesz go uratować, bądź więc wytrwała i wierna!

Ani Klara, ani nikt inny nie zrozumiał, co właściwie miał na myśli ojciec chrzestny; radca zdumiał się tak bardzo, że wziął za puls sędziego i rzekł:

– Drogi przyjacielu, masz silne uderzenie krwi do głowy, powinienes zaraz wziąć lekarstwo.

Ale pani radczyni pokiwała w zamyśleniu głową i powiedziała cichutko:

– Przeczuję, co miał na myśli ojciec chrzestny, ale nie potrafię tego jasno wyrazić...

Rozdział XI:  
Zwycięstwo

Była noc księżycowa i Klara spała już od kilku godzin, kiedy zbudziły ją nagle jakieś dziwne szmery, dochodzące, jak jej się zdawało, z jednego kąta pokoju. Wydawało się, że drobne kamyki padały na podłogę, a od czasu do czasu odzywały się odrażające świsty i piski.



– Ach, to myszy, myszy wracają! – zawołała przerażona Klara i chciała obudzić matkę, ale słowa uwięzły jej w gardle i nie mogła zdobyć się na najlżejsze poruszenie, ujrzała bowiem Króla Myszy, który wydobył się z trudem przez otwór w murze, a potem biegał po pokoju z błyszczącymi oczkami, potrząsając swymi siedmioma koronami na głowach. Jednak jej przerażenie doszło szczytu, kiedy Król Myszy potężnym susem wskoczył na mały stolik, który stał u jej łóżka.

– Hi, hi, hi, musisz mi oddać swoje cukierki, malutka, bo inaczej zagryzę twojego Dziadka... twojego Dziadka do Orzechów...



Tak świstał Król Myszy, zgrzytając zębami, a potem zeskoczył na ziemię i skrył się w dziurze.

Wypadek ten tak przestraszył Klarę, że nazajutrz wstała z łóżka niezmiernie blada i bardzo niespokojna, nie mogła niemal głosu wydobyć. Sto razy chciała wyzalic się przed matką, Ludwiką albo chociażby przed ojcem chrzestnym, ale zawsze przychodziło jej na myśl, że nikt jej nie uwierzy i zostanie wyśmiana. Wiedziała jednak na pewno, że musi oddać cukierki i marcepany, żeby uratować Dziadka do Orzechów.

Toteż wieczorem ułożyła wszystkie słodczyce na podłodze przy szafie.

Nazajutrz rano pani radczyni rzekła:

– Nie rozumiem, skąd wzięły się nagle myszy w naszym bawialnym pokoju. Spójrz tylko, Klaro, zjadły ci wszystkie słodczyce!

Tak było rzeczywiście. Jedyne nadziewane marcepany nie przypadły widocznie do gustu żarłocznemu Królowi Myszy, ale pogryzł je tak, że trzeba je było wyrzucić.



Klara nic sobie nie robiła z tej straty cukierków; przeciwnie, cieszyła się niezmiernie, mniemając, że uratowała swojego Dziadka do Orzechów.

Można sobie wyobrazić przerażenie Klary, gdy następnej nocy usłyszała pisk i kwik tuż obok swojego ucha. Ach, to Król Myszy zjawił się znowu! Oczy jego błyszczały jeszcze silniej niż ubiegłej nocy i jeszcze bardziej przeraźliwy pisk wydobywał się z jego siedmiu paszcz.

– Musisz mi oddać swoje lalki z cukru, malutka, bo inaczej zagryzę twojego Dziadunia, twojego Dziadka do Orzechów...

Z tymi słowami okropny Król Myszy zeskoczył ze stolika i ukrył się w norze.

Następnego dnia Klara stanęła przed szafą, w której znajdowały się jej lalki z cukru, i oglądała je po raz ostatni z wielkim smutkiem. Nie należy się dziwić jej zmartwieniu, gdyż nie masz pojęcia, moja uważna Czytelniczko, jakie śliczne figurki z cukru miała Klara!

Przede wszystkim był tam piękny pastuszek z pastereczką: paśli oni całe stado owieczek białych jak mleko, a obok nich skakał wesół piesek. Było tam dwóch listonoszy z listami w rękach, a cztery milutkie parki – wytwornie ubrani młodzieńcy i ślicznie wystrojone dziewczęta – huśtały się na marcepanowej huśtawce... Było tam także kilku tancerzy, a w kącie stało małe, rumiane dziewczątko, oczko w głowie Klary. Łzy popłynęły jej z oczu.

– O mój drogi panie Droselmajer! – zawołała do Dziadka do Orzechów. – Czego bym nie zrobiła, żeby pana uratować. Ale to jest jednak okropne!

Dziadek do Orzechów miał wygląd tak zabawny, że Klara, której ciągle przed oczami stało siedem otwartych gardzieli gotowych pożreć Dziadka, postanowiła poświęcić wszystko. Wieczorem ułożyła więc na podłodze przy szafie swoje cukrowe laleczki, tak jak poprzednio cukierki i marcepany. Ucałowała pastuszkę, pastereczkę, owieczki, a wreszcie wyjęła z kąta swoje ulubione rumiane dzieciątko i umieściła je na samym końcu.

– Nie, to przechodzi wszelkie pojęcie! – wołała pani radczyni następnego

ranka. – Na pewno gospodaruje w szafie jakaś ogromna mysz, bo wszystkie cukrowe laleczki biednej Klary są pogryzione.

Klarze trudno było powstrzymać łzy, ale prędko uśmiechnęła się, myśląc: „To nic. Dziadek do Orzechów jest uratowany!”.

Pani radczyni opowiedziała wieczorem mężowi o spustoszeniach uczynionych przez myszy w szafie dzieci.

– To doprawdy okropne, że nie możemy dać sobie rady z tą fatalną myszą, która rozpanoszyła się w oszklonej szafie i pożera słodczyce biednej Klary – rzekł radca, a ojciec chrzestny zawołał wesoło:

– Przecież piekarz ma na dole ślicznego kota; zaraz go tu przyniosę! On położy koniec temu wszystkiemu i odgryzie głowę myszy, gdyby to była nawet Mysibaba we własnej osobie albo jej syn, Król Myszy...



– I będzie skakał po stołach i krzesłach – przerwała, śmiejąc się, matka. – Pozrzuca szklanki, filiżanki i narobi jeszcze tysiąc innych szkód.

– Skądże znowu! – odparł ojciec chrzestny. – Kot piekarza jest zręczny; chciałbym umieć tak zgrabnie, jak on, chodzić po pochyłym dachu.

– Tylko bez kotów w nocy! – prosiła Ludwika, która nie znosiła tych zwierząt.



– Właściwie ojciec chrzestny ma rację – rzekł radca – ale możemy również postawić pułapkę na myszy. Czy mamy w domu pułapkę?

– Pułapkę zrobi nam najlepiej ojciec chrzestny! – zawołał Fred. – Przecież to on ją wynalazł!

Wszyscy roześmieli się, a ponieważ pani radczyni nie miała w domu pułapki, ojciec chrzestny zaofiarował się, że ma kilka u siebie, i kazał natychmiast przynieść ze swego mieszkania doskonałą pułapkę na myszy.

Fred i Klara przypomnieli sobie dokładnie opowiadanie ojca chrzestnego o twardym orzechu. Kiedy kucharka przysmażała słoninę, Klara drżała na całym ciele i odezwała się do niej, jakby to ona była królową z bajki o Pirlipacie:

– Strzeż się, królowo, Mysibaby i jej rodziny!

A Fred wyjął szablę i zawołał:



– Niech tylko przyjdą, już ja im pokażę!

Ale nic się nie poruszyło ani pod kominem, ani na kominie.

A kiedy sędzia uwiązał słoninę na cienkiej nitce i cichutko ustawił pułapkę przy szafie, Fred go ostrzegł:

– Uważaj dobrze, ojczy chrzestny i świetny zegarmistrz, żeby ci Król Myszy jakiegoś figla nie spletał!

W nocy biedna Klara miała okropne przejęcia. Czowała zimne dotknięcia wzdłuż ręki, potem coś chropowatego i obrzydliwego przylgnęło do jej policzka, piszcząc straszliwie. Obrzydliwy Król Myszy siedział na jej ramieniu, czerwony ogień zionął z jego siedmiu szeroko rozwartych gardzieli. Potwór, zgrzytając zębami, świstał prosto do ucha Klary:

Świst – świst, gwizd – gwizd,

Do domku nie wejdę,

Bez uczty się obejdę,

Złapać mnie się nie uda!

Świst – świst, gwizd – gwizd,

Oddaj mi swoje cuda,

Swoje śliczne książeczki

I swoje sukieneczki!

Nie wiem, co zmiłowanie,

Stracisz swe ukochanie;

Dziadka zjem na śniadanie,

Hi – hi! Pi – pi! Kwik – kwik!

Klara była następnego ranka bardzo blada.

– Ta wstrętna mysz jeszcze się nie złapała – powiedziała matka, a myśląc, że Klara boi się myszy i oplakuje swoje cukierki, dodała: – Ale bądź spokojna, Klaro, już my ją wypędzimy! Jeżeli nie pomogą pułapki, to ojciec chrzestny sprowadzi tego szarego kota.

Zaledwie Klara znalazła się w bawialni, natychmiast podeszła do oszklonej szafy i łkając, zwróciła się do Dziadka do Orzechów:

– Mój najdroższy, najlepszy panie Droselmajer, cóż ja, mała, nieszczęśliwa dziewczynka mogę dla pana uczynić? Gdybym nawet oddała na pogryzienie temu okropnemu Królowi Myszy wszystkie moje książki z obrazkami, a nawet tę śliczną nową sukienkę, którą dostałam na Gwiazdkę, to przecież zażąda on jeszcze więcej i nic już nie będę miała. Wreszcie i mnie samą będzie chciał zagryźć zamiast pana. Ach, co mam uczynić, ja nieszczęśliwa, co mam uczynić?!

Kiedy Klara tak skarżyła się i narzekała, zauważyła nagle, że Dziadkowi do Orzechów po owej pamiętnej nocy pozostała na szyi wielka krwawa plama. Odkąd Klara wiedziała, że jej Dziadek do Orzechów jest w istocie młodym panem Droselmajerem, siostrzeńcem ojca chrzestnego, nie nosiła go więcej na rękę, nie

pieściła go i nie całowała, a nawet lękała się go dotknąć.



Ale teraz ostrożnie wyjęła go z szafy i zaczęła ścierać mu chustką do nosa krew z szyi. Jakież było jej zdziwienie, gdy nagle poczuła, że Dziadek w jej ręce stawał się coraz cieplejszy i zaczął się poruszać. Gdy przedmiot odstawiała go na półkę, usta jego zaczęły się otwierać i zamykać, aż wreszcie Dziadunio wyszeptał:

– Ach, moja droga przyjaciółko, ileż pani zawdzięczam! Nie poświęci pani dla mnie ani książek z obrazkami, ani gwiazdkowej sukienki. Tylko niech mi się pani wystara o pałasz; tylko o pałasz, reszta należy już do mnie, gdybym miał nawet...

W tej chwili jednak Dziadek do Orzechów stracił mowę; oczy jego, przed chwilą pełne tęsknoty i uczucia, przybrały znowu wyraz nieruchomy i martwy.

Klara nie odczuwała żadnego lęku, przeciwnie, skakała z radości, bo wiedziała teraz, w jaki sposób uratować Dziadka do Orzechów, nie ponosząc więcej bolesnych ofiar. Ale gdzie zdobyć pałasz dla tego malca? Klara postanowiła naradzić się z Fredem.



Wieczorem, kiedy rodzice wyszli z domu, a dzieci same siedziały w bawialni obok oszklonej szafy, Klara opowiedziała bratu wszystko, co się jej wydarzyło, i w jaki sposób może uratować Dziadka do Orzechów. W tym całym opowiadaniu najbardziej zastanowiło Freda, że jego huzarzy, według relacji Klary, tak źle zachowali się w bitwie. Jeszcze raz zapytał, czy to prawda, a kiedy Klara potwierdziła, podszedł szybko do szafy i zwrócił się do huzarów z patetyczną przemową. Potem, chcąc ich ukarać za egoizm i tchórzostwo, poobcinał im z czapek odznaki wojskowe i zabronił w ciągu całego roku trąbić marsza gwardyjskiego.

Następnie zwrócił się znowu do Klary:

– Co się tyczy pałaza, to mogę dostarczyć go Dziadkowi do Orzechów;

wczoraj właśnie wyznaczyłem emeryturę wysłużonemu oficerowi batalionu kirasjerów, więc mogę mu odebrać jego piękny i ostry pałasz.



Wspomniany oficer żył z pensji, wyznaczonej przez Freda, w tylnym kącie trzeciej półki. Chłopiec wyciągnął go stamtąd, zabrał mu błyszczący srebrny pałasz i przypasał go Dziadkowi do Orzechów.

Klara bała się tak bardzo, że następnej nocy nie mogła zmrużyć oka. Zdawało się jej, że z bawialni dochodzą jakieś niezwykle hałasy, brzęki i szmery. Nagle usłyszała głośny okrzyk: „kwik, kwik!”.

– To Król Myszy, na pewno Król Myszy! – zawołała Klara i przerażona wyskoczyła z łóżka. Naokoło panowała już cisza zupełna, ale wkrótce usłyszała cichutkie pukanie do drzwi i delikatny głosik:



– Niech pani spokojnie otworzy, przychodzę z dobrą nowiną!

Klara poznała głos młodego Droselmajera, zarzuciła prędko sukienkę i natychmiast otworzyła drzwi. Dziadunio stał za progiem, trzymając w prawej ręce zakrwawiony pałasz, a w lewej woskową świeczkę.

Gdy spostrzegł Klarę, ukląkł na jedno kolano i odezwał się do niej:

– O pani! Tobie jednej zawdzięczam, żeś pokrzepiła moją odwagę rycerską, a ramieniu memu dodała siły, bym mógł pokonać zuchwalca, który śmiał z ciebie szydzić. Chytry Król Myszy leży zmiążdżony i pławi się we własnej krwi. Zechciej, pani, przyjąć z rąk rycerza oddanego ci aż do śmierci ten dowód zwycięstwa i nie wzgardź tym darem.

To mówiąc, Dziadek do Orzechów zsunął zręcznie z ręki siedem nałożonych jak bransolety złotych koron Króla Myszy i podał je Klarze. Dziewczynka nie posiadała się z radości, a Dziadek do Orzechów powstał i ciągnął dalej:

– O moja kochana panno Klaro! Teraz, kiedy pokonałem swojego wroga,

pragnąłbym ci pokazać wiele cudownych rzeczy, gdybyś tylko zechciała pójść ze mną! O, uczyń to, uczyń, najdroższa panno Klaro!



Rozdział XII:  
Królestwo lalek



Sądzę, moje dzieci, że żadne z Was nie wahałoby się ani chwili i że wszystkie poszłybyście za poczciwym i zacnym Dziadkiem do Orzechów, który nigdy nie miał złych zamiarów. Klara uczyniła to tym chętniej, że liczyła na wdzięczność Dziadka do Orzechów i pewna była, że dotrzyma słowa i pokaże jej wiele cudownych rzeczy.

– Pójdę z panem chętnie – powiedziała – ale pod warunkiem, że to niedaleko i że nasza wycieczka nie będzie trwała zbyt długo, bo jeszcze nie zdążyłam się wyspać.

– Dobrze – odparł Dziadek do Orzechów – wybiorę najkrótszą, choć trochę uciążliwą drogę.

Dziadek poszedł naprzód, a Klara za nim; zatrzymali się przed wielką szafą do ubrań, stojącą w przedpokoju.

Klara zauważyła ze zdumieniem, że szafa, która zwykle była starannie zamknięta, teraz stała otworem; widać było wyraźnie lisie podróżne futro ojca, które wisiało na wierzchu. Dziadek wdrapał się zręcznie po listwach i ornamentach szafy, po czym chwycił za frędzlę umocowaną na sznurze do tylnej strony futra. Gdy Dziadek pociągnął za frędzlę, przez rękaw futra opuściły się ozdobne schodki z drzewa cedrowego.

– Niech pani wejdzie – powiedział Dziadek do Orzechów.

Klara weszła na schodki, ale zaledwie przeszła przez rękaw, zaledwie wyjrzała poza kołnierz futra, oślepiła ją wielka jasność. Znalazła się nagle pośrodku łąki precudnie pachnącej i świecącej miliardami iskier, jak gdyby była wysadzana drogimi kamieniami.

– Jesteśmy na Łące Cukrowej – rzekł Dziadek do Orzechów – a teraz przejdziemy przez tamtą bramę.

Klara podniosła głowę i teraz dopiero spostrzegła prześliczną bramę, która wznosiła się na łące kilka kroków przed nią. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że brama ta jest zbudowana z marmuru białego, brązowego i rodzynekowego, ale kiedy Klara podeszła bliżej, przekonała się, że cała budowa składała się z rodzyneków i migdałów w cukrze; brama ta, jak objaśnił Dziadek do Orzechów, nazywała się Bramą Migdałowo-Rodzynekową, zwaną także Bramą Łakomczuchów.

Na galeryjce, otaczającej szczyt bramy i zbudowanej, jak się zdawało, z cukru smażonego, umieszczona była janczarska orkiestra złożona z sześciu małpek w ciepłych surducikach. Słuchając muzyki, Klara nie spostrzegła prawie, że

przeszli już kawał drogi po płytach z barwnego marmuru, które nie były niczym innym, jak misternie odrobionymi marcepanami.



Z lasku, w którym teraz się znaleźli, dochodziły najśłodsze zapachy. Ciemną zieleń rozświetlały tysiączne ogniki. W ich blasku widać było wyraźnie złote i srebrne owoce wiszące na barwnych ogonkach oraz pnie i gałęzie drzew, przystrojone we wstążki i bukiety kwiatów jak szczęśliwi narzeczeni lub radośni, weselni goście. Gałązki i listeczki szumiały w powiewach zefiru pełnego woni pomarańcz. Cienkie złote nitki, zwisające z drzew, dzwoniły jak muzyka, a błyszczące ogniki skakały i tańczyły do taktu.

– Ach, jak tu pięknie! – zawołała uszczęśliwiona Klara z zachwytem.

– Jesteśmy w Lesie Gwiazdkowym, droga panno Klaro – pośpieszył z odpowiedzią Dziadek do Orzechów.

– Gdybym tu mogła trochę dłużej pozostać! Tak tutaj prześlicznie!



Dziadek do Orzechów klasnął w swe małe dłonie i w tej samej chwili ukazali się mali pasterze w towarzystwie maleńkich pasterek, a za nimi panowie i panie w strojach myśliwskich; wszyscy byli tak delikatni i biali, że wyglądali jak z najczystszej cukru. Klara dziwiła się, że teraz dopiero ich spostrzegła, chociaż już tak długo chodziła po lesie.

To nowe towarzystwo przyniosło złoty, misterny fotelik, położyło na nim

białą poduszkę z kwiatu lukrecji i poprosiło Klarę, żeby zechciała usiąść. Gdy to uczyniła, pasterze i pasterki wykonali uroczysty taniec, a myśliwi rytmicznie przygrywali na rogach; potem wszyscy rozproszyli się po zaroślach.

– Niech mi pani wybaczy, droga panno Klaro – powiedział Dziadek do Orzechów – że balet udał się tak marnie. Tancerze wchodzący w skład naszej trupy poruszają się na drutach, mogą więc tylko wykonywać jedne i te same ruchy. Strzelcy także trąbili nieco ospale.



– Ach, to wszystko było przecież cudowne i bardzo mi się podobało! – odrzekła Klara, po czym podniosła się z fotela i poszła za Dziadkiem do Orzechów.

Szli teraz brzegiem szemrzącego potoku, z którego, jak się zdawało, unosiły się te wszystkie precudne zapachy napęlniające las.

– To Potok Pomarańczowy – odpowiedział Dziadek do Orzechów na zapytanie Klary – ale choć pachnie tak pięknie, nie może równać się z Rzeką Lemoniadową, która wraz z nim wpada do jeziora z migdałowego mleka.

Rzeczywiście, Klara usłyszała po chwili silniejszy plusk i szmer i ujrzała szeroką Rzekę Lemoniadową, toczącą swe żółte wody wśród zielonych zarośli błyszczących jak jasne szmaragdy. Nad rzeką unosił się orzeźwiający wietrzyk. W pobliżu dostrzegła Klara strumień o barwie ciemnożółtej, płynący powoli i z trudem i roztaczający wokoło słodką woń. Na brzegu siedziało mnóstwo prześlicznych dzieci, które łowiły małe, ale tłuste rybki i zjadały je na poczekaniu. Klara podeszła bliżej i zauważyła, że rybki te były cukrzonymi orzeszkami. W pewnej odległości widniała malownicza wioska leżąca nad brzegiem strumienia. Domy, kościoły, stodoły i wszystkie inne zabudowania były ciemnobrązowej barwy, a pokrywały je złote dachy. Ściany mieniły się przeróżnymi kolorami, jak gdyby były upstrzone migdałami i skórkami cytrynowymi.

– Ta wioska nazywa się Piernikowo – objaśnił Dziadek do Orzechów – a leży nad Strumieniem Miodowym. Mieszkają w niej bardzo mili ludzie, ale są zwykle bardzo rozdrażnieni, bo cierpią stale na silne bóle zębów. Lepiej więc nie chodźmy tam.

W tej chwili Klara ujrzała małe miasteczko składające się z kolorowych i zupełnie przezroczystych domów, co wyglądało prześlicznie. Dziadek do Orzechów skierował się w tę stronę. Wnet dał się słyszeć hałas wesołych, zmieszanych głosów i Klara spostrzegła, jak tłumy małych, zgrabnych ludzi przyglądają się stojącym na rynku naładowanym wozom i zabierają się do ich



wyładowania.

To, co zdejmowali z wozów, wyglądało jak kolorowy papier i tabliczki czekolady.

– Jesteśmy w Smakołykach – powiedział Dziadek do Orzechów – właśnie nadeszły towary z Kraju Papierowego i od Króla Czekoladowego. Cukierkowe domki były niedawno w wielkim niebezpieczeństwie, bo zagrażała im armia admirała Much; dla zabezpieczenia ich mieszkańcy oklejają je darami otrzymanymi z Kraju Papierowego i budują wały obronne z materiału, który nadesłał Król Czekoladowy. Ale, panno Klaro, nie będziemy zwiedzali wszystkich miast i wsi tego kraju. Chodźmy do stolicy.

Dziadek do Orzechów ruszył szybko dalej, a za nim zaciekawiona Klara. Po niedługim czasie poczuła cudowny zapach róż, wydało się jej, że wszystko otoczone jest lekką i zwiewną różową światłością. Klara spostrzegła, że był to odbłask różowej wody, która pluskała i szemrała tuż przed nimi jasnymi falami, wydając przy tym tony zlewające się w słodką melodię. Na powierzchni tej wody, która rozszerzając się, tworzyła rozległe jezioro, pływały piękne srebrnobiałe łabędzie ze złotymi opaskami na szyjach i śpiewały najpiękniejsze piosenki. Do taktu tych melodii tańczyły diamentowe rybki, to wynurzając się z różanej wody, to kryjąc się w niej znowu.



– Ach! – wykrzyknęła zachwycona Klara. – To jest przecież jezioro, które ojciec chrzestny Droselmajer chciał zrobić dla mnie, na pewno to samo! A ja jestem dziewczynką, która miała bawić się z łabędziami.

Dziadek do Orzechów uśmiechnął się z przekąsem, czego Klara nigdy dotąd u niego nie spostrzegła, i powiedział:

– Sądzę, że wujaszek nie potrafiłby nigdy stworzyć czegoś podobnego; już prędzej pani by to potrafiła. Ale nie zastanawiajmy się nad tym; teraz przeprawimy się przez Jezioro Róż do stolicy.

Rozdział XIII:  
Stolica

Dziadek do Orzechów znowu klasnął w dłonie. Jezioro Róż zaczęło głośniejszemrać, fale podniosły się wyżej, a w oddali ukazała się łódź w kształcie muszli, wykonana z samych drogich kamieni, kolorowych i jasnych jak słońce. Łódź, ciągnięta przez złote delfiny, zbliżała się do miejsca, gdzie stała Klara z Dziadkiem do Orzechów. Dwunastu małych zgrabniutkich chłopców, przybranych w czapeczki i fartuszki z piór kolibrowych, wyskoczyło na brzeg.

Ślizgając się lekko na powierzchni fal, przenieśli najpierw dziewczynkę, a potem jej przewodnika do łodzi, która natychmiast odbiła od brzegu.



Ach, jak to było cudownie płynąć tak w łodzi muszlowej po falach różanych, wśród zefirów! Delfiny o złotych łuskach podnosiły od czasu do czasu nozdrza i wyrzucały z nich wysoko strugi kryształowe, które zakreślały w powietrzu łuki iskrzące się tysiącem ogników, a kiedy uderzały o taflę jeziora, słychać było w ich plusku śpiew czystych, srebrnych głosików:

Kto płynie na miękkich poduszkach?

To wróżka.

Muszki robią: pss...

Rybki robią: szsz...

Łabędzie: tra-ra,

A ptaszki: la-la.

Srebrne fale,

Płyńcie w dale,

Płyńcie chyże,

Niżej, wyżej!

Przyjechała wróżka młoda,

Niech różana szumi woda.

Klara przyglądała się pachnącym falom różanym, bo z każdej z nich uśmiechała się do niej prześliczna twarzyczka dziewczęca.

– Ach, niech pan tylko spojrzy, drogi Dziadku do Orzechów! – wołała Klara, klaszcząc radośnie w ręce. – Niech pan tylko spojrzy. Tam, z dołu uśmiecha się do mnie cudna księżniczka Pirlipata. Ach, niech pan spojrzy!

– O nie, najdroższa panno Klaro, to nie jest księżniczka Pirlipata, tylko pani sama! To pani własna miła twarzyczka uśmiecha się tak ślicznie z każdej różanej fali.

Słyszając to, Klara cofnęła się gwałtownie w głąb łodzi, zamknęła oczy

i zawstydzila się bardzo. W tej samej chwili dwunastu małych chłopców wyniosło ją na ląd.

Znajdowała się teraz w niewielkim zagajniku, może jeszcze ładniejszym niż Las Gwiazdkowy. Wszystko w nim świeciło i błyszczało, ale najpiękniej wyglądały nieznane owoce wiszące na gałęziach; mieniły się wszystkimi kolorami tęczy i roztaczały niezwykły zapach wokoło.

– Jesteśmy w Gaju Konfiturowym – objaśnił Dziadek do Orzechów – a tam jest stolica.

Dziewczynka spojrzała w stronę wskazaną przez Dziadka. Nie, drogie dzieci, nigdy nie potrafię opisać piękna i wspaniałości miasta na puszystej murawie, które ukazało się oczom Klary. Jego mury i wieże uderzały nie tylko najpiękniejszymi barwami, lecz i kształty budowli były takie, jakich na ziemi nigdy dotychczas nie widziano. Zamiast dachów widniały na domach misternie odrobione korony, a wieże ozdobione były najpiękniejszymi wiankami z barwnych liści i kwiatów. Kiedy przechodzili przez bramę zbudowaną z makaroników i cukrzonych owoców, srebrni żołnierze prezentowali broń, a jakiś mały człowiek, odziany w szlafrok z brokatu, rzucił się Dziadkowi do Orzechów na szyję i zawołał:



– Witaj, drogi książę, witaj w Cukierkowie!

Klara zdziwiła się bardzo, usłyszawszy, że ten elegancki pan nazywa Dziadka do Orzechów księciem. Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym, bo usłyszała nagle tyle cienkich zmieszanych głosików, taki radosny zgiełk i wybuchy śmiechu, że natychmiast zwróciła się do Dziadka do Orzechów z zapytaniem, co by to mogło oznaczać.

– To nic szczególnego, najdroższa panno Klaro – odparł Dziadek. – W Cukierkowie mieszkają sami weseli ludzie; tutaj co dzień rozbrzmiewa tyle śmiechu! Ale chodźmy dalej, jeśli pani pozwoli.

Już po kilku krokach doszli do rynku, który był równie niezwykły. Wszystkie domy wokoło wykonane były z ażurowego cukru i ozdobione licznymi galeryjkami. Pośrodku placu stał wysoki, cukrem polany sękacz, a dokoła niego cztery piękne fontanny tryskały w powietrze orszadą, lemoniadą i innymi słodkimi i odświeżającymi napojami. W sadzawce zbierał się najczystszy krem, który napraszał się, by go zjeść.



Ale najpiękniejsi byli maleńcy ludzie, którzy tłumnie zebrali się na placu, wydając radosne okrzyki; śmiali się, żartowali, śpiewali i czynili właśnie ten hałas, który już z daleka zastanowił Klarę. Cisnęli się tam pięknie ubrani panowie, wystrojone panie, oficerowie i żołnierze, urzędnicy, pasterze, błazny, słowem – wszyscy ludzie, jakich spotkać można na ziemi.

Na jednym rogu ruch się zwiększył nagle, po czym tłum rozstał się na dwie strony, bo właśnie ukazał się Król Cukru, niesiony w lektyce. Za nim postępowało dziewięćdziesięciu trzech dygnitarzy i siedmuset służących. W tej samej chwili zza drugiego rogu placu wysunął się uroczysty pochód cechu rybaków, składający się z pięciuset ludzi.

Powstał ścisk, tumult i zgiełk nie do opisania. Dały się słyszeć zrozpaczone głosy, bo jeden z rybaków strącił w tłumie głowę jakiemuś księciu, a jeden z hrabiów omal nie został przewrócony przez pędzącego pajaca. Hałas stawał się coraz głośniejszy, a tu i ówdzie zaczynano już bić się i popychać, gdy nagle ów pan w brokatowym szlafroku, który w bramie nazwał Dziadka do Orzechów księciem, wdrapał się na sam szczyt sękacza, po trzykroć uderzył w przeraźliwie dzwiczące dzwony i po trzykroć głośno zawołał:

– Cukierniku, Cukierniku, Cukierniku!

Tłum uspokoił się natychmiast i każdy starał się wrócić do porządku. Zmieszane pochody zrównały się znowu. Hrabiemu oczyszczono zabłocone ubranie, księciu nasadzono strąconą głowę i znowu rozległ się chór zmieszanych i radosnych głosów.



– Co to znaczy: „Cukierniku”? – zapytała Klara.

– Ach, najdroższa panno Klaro – odpowiedział Dziadek do Orzechów – Cukiernikiem nazywa się tutaj czarownika. Wystarczy wymienić jego imię, by uspokoić największy rozgardiasz i przywrócić ludziom radość. Przed chwilą burmistrz miasta wezwał go właśnie.

Klara nie mogła się powstrzymać od głośnego okrzyku zdziwienia i największego zachwyty, stanęła bowiem przed jasnym, błyszczącym pałacem otoczonym różowym światłem. Liczne wieżyczki pałacowe strzelały wysoko w niebo. Tu i ówdzie mury pałacu były ozdobione rozłożystymi bukietami z narcyzów, tulipanów, lewkonii i fiołków, których żywe kolory jeszcze bardziej podkreślały olśniewającą i wpadającą w różowe tony biel tła. Wielka świetlana kopuła środkowego skrzydła, jak również dachy wież w kształcie piramid, usiane były tysiącami złotych i srebrnych, jasno płonących gwiazdek.

– Jesteśmy przed Pałacem Marcepanowym! – oświadczył Dziadek do Orzechów.

Klara była oszołomiona widokiem czarodziejskiego pałacu; nie uszło jednak jej uwagi, że na jednej z wież brakowało dachu i że drobne ludzkie figurki, stojące na rusztowaniu z lasek cynamonu, pracowały nad budową nowego. Zanim zdążyła się zwrócić z zapytaniem do Dziadka do Orzechów, ten zaczął mówić:

– Niedawno pięknemu pałacowi groziło wielkie niebezpieczeństwo, a może nawet całkowite zniszczenie. Przechodził tędy olbrzymi Łasuch; on to właśnie odgryzł dach z tamtej wieży i zabierał się już do wielkiej kopuły, ale mieszkańcy miasta dali mu okup w postaci całej dzielnicy i okazałej części Gaju Konfiturowego. Olbrzym zadowolił się tym i poszedł sobie dalej.

W tej chwili rozległy się dźwięki kołyszącej i melodyjnej muzyki, brama pałacu otworzyła się i ukazało się w niej dwunastu małych pazików niosących w rękach pochodnie z płonących korzonków. Głowy mieli z perełek, ciało z rubinów i szmaragdów, a nogi ślicznie odrobione z najczystszej złota. Za nimi postępowały cztery damy, prawie tak duże jak Eliza Klary, ale tak niezwykle i cudownie przystrojone, że Klara natychmiast poznała w nich księżniczki.

Damy uściskały serdecznie Dziadka do Orzechów, wołając z radosnym wzruszeniem:

– O mój księżę, mój najdroższy księżę! O mój bracie!

Dziadek do Orzechów był również bardzo wzruszony; otarł łzy, które

spływały mu z oczu, potem schwycił Klarę za rękę i zawołał uroczyście:



– Oto jest panna Klara, córka szanownego radcy i moja wybawicielka! Gdyby nie rzuciła pantofelka we właściwym czasie, gdyby mi nie dostarczyła pałasza emerytowanego oficera, leżałbym teraz w mogile, zagryziony przez przekłętą Króla Myszy. Czyż Pirlipata, chociaż jest urodzoną księżniczką, może się równać z panną Klarą pod względem urody, dobroci i cnoty? O nie, powtarzam, o nie!

– Nie! – zawołały wszystkie damy i rzuciły się Klarze na szyję, wołając przez łzy wzruszenia: – O szlachetna wybawicielko naszego ukochanego brata, najdroższa panno Klaro!

Teraz damy poprowadziły Klarę i Dziadka do Orzechów w głąb pałacu, do sali, której ściany zrobione były z kryształów mieniących się wszystkimi możliwymi barwami. Ale najbardziej podobały się Klarze małe krzeselka, stołki, komódki i inne mebelki z drzewa cedrowego, ozdobione złotymi kwiatami. Księżniczki poprosiły Klarę i Dziadka do Orzechów, by zajęli miejsca, a same zabrały się własnoręcznie do sporządzania uczy.

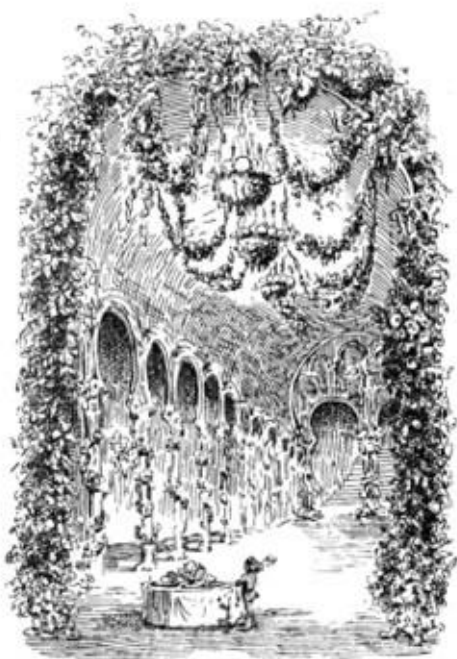
Przyniosły mnóstwo małych garnuszków i miseczek z najlepszej japońskiej porcelany, łyżki, noże i widelce, tarki, kociołki i inne sprzęty kuchenne ze złota i srebra. Potem przyniosły najpiękniejsze owoce i cukry, jakich Klara nigdy jeszcze nie widziała, i zaczęły zręcznie, białymi jak śnieg rączkami, wyciskać sok z owoców, tłuc korzonki, rozcierać cukrzony migdały, jednym słowem – gospodarować z taką wprawą, że Klara przekonała się, jak świetnie księżniczki znają się na kuchni. Toteż oczekiwała wyśmienitej uczy. W głębokim przekonaniu, że i ona potrafi to wszystko, Klara chciała pomóc księżniczkom w ich czynnościach. Najpiękniejsza z sióstr Dziadka do Orzechów, jak gdyby odgadując ukryte życzenia Klary, podała jej malutki złoty moździerz i powiedziała:

– Moja miła przyjaciółko, zbawczyni mojego brata, utłucz trochę wanilii!

W czasie gdy Klara tłukła młotkiem w moździerz, który dźwięczał miło i słodko jak najpiękniejsza muzyka, Dziadek do Orzechów opowiadał szeroko o straszliwej bitwie stoczonej przez jego wojska z wojskami Króla Myszy, o tchórzostwie swej armii i o swojej porażce, o tym, jak obrzydliwy Król Myszy chciał go koniecznie zagryźć i jak dla jego ratunku musiała Klara poświęcić wielu swych poddanych, i tak dalej, i tak dalej.



Klarze wydawało się, że słowa opowiadania, a nawet jej własne uderzenia młotkiem oddalają się coraz bardziej i stają się coraz mniej wyraźne. Zaczęła się skądś wyłaniać jakaś srebrzysta gaza, na której, jak na przejrzystych kłębach mgły, unosiły się księżniczki, paziowie, Dziadek do Orzechów i ona sama. Dały się słyszeć jakieś śpiewy, szelesty i poświsty ginące w oddali – i nagle Klara poczuła, że unoszą ją jakby fale rosnące wciąż wyżej i wyżej, wyżej i wyżej, wyżej i wyżej.





Zakończenie



Prrr... Bęc! Klara spadła z niezmierzonej wysokości. Jakiż to był dziwny upadek! Natychmiast otworzyła oczy i spostrzegła, że leży w swoim łóżeczku; był już jasny dzień, a przy niej stała matka i mówiła:

– Jakże można spać tak długo? Już dawno śniadanie na stole.

Zapewne moi Czytelnicy domyślają się, że Klara – oszołomiona tymi wszystkimi cudownościami, które oglądała – zasnęła wreszcie w sali Pałacu Marcepanowego i że paziowie albo nawet same księżniczki zanosły ją do domu i położyły do łóżka.

– Ach, mamusiu, moja droga mamusiu, gdybyś wiedziała, dokąd mnie zaprowadził tej nocy młody pan Droselmajer i jakie widziałam cuda!

Opowiedziała też wszystko prawie równie dokładnie, jak ja to zrobiłem przed chwilą, a matka patrzyła na nią niezmiernie zdziwiona. Kiedy Klara skończyła, matka rzekła:

– Miałaś długi i bardzo piękny sen, Klaro. Ale wybij sobie już raz to wszystko z głowy.

Klara twierdziła z uporem, że nic jej się nie śniło i że widziała to wszystko rzeczywiście. Matka zaprowadziła ją więc do oszklonej szafy, wyjęła z niej Dziadka do Orzechów, który jak zwykle stał sobie na trzeciej półce od dołu, i powiedziała:

– Jak możesz, niemądra dziewczynko, przypuszczać, że ta norymberska drewniana lalka obdarzona została nagle życiem i ruchami?

– Ależ, mamo – przerwała Klara – ja wiem na pewno, że mały Dziadek do Orzechów jest młodym panem Droselmajerem z Norymbergi, siostrzeńcem ojca chrzestnego.



Słyszając to, radca i pani radczyni wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Ach, ojcze! – ciągnęła Klara, z trudem powstrzymując łzy. – Wyśmiewasz się z mojego Dziadka do Orzechów, a on o tobie wyrażał się tak dobrze; bo kiedy przedstawiał mnie swoim siostrom księżniczkom, powiedział, że jesteś wielce szanownym radcą!

Podniósł się jeszcze głośniejszy śmiech, a wtórowali mu teraz Ludwika, a nawet Fred. Klara pobiegła do swojego pokoju, przyniosła stamtąd małą szkatułkę, wyjęła siedem koron Króla Myszy i podała je matce, mówiąc:



– Spójrz tylko, kochana mamusiu! Oto siedem koron Króla Myszy, które młody pan Droselmajer przyniósł mi w darze tej nocy na dowód swojego zwycięstwa.

Z wielkim zdumieniem przyglądała się pani radczyni malutkim koronom, tak misternie wyrzeźbionym z jakiegoś nieznanego, ale bardzo błyszczącego metalu, że trudno było przypuścić, by były dziełem rąk ludzkich. Nawet radca nie mógł się dość napatrzeć i razem z matką wypytywali Klarę bardzo poważnie, skąd wzięła te korony. Ale ona powtarzała wciąż tylko to, co już raz powiedziała, a kiedy ojciec zrobił bardzo surową minę i nawet nazwał ją małą kłamczuchą, rozplakała się na dobre i zaczęła się skarżyć:

– Ach, jaka jestem nieszczęśliwa! Cóż mam wam odpowiedzieć?

W tej chwili otworzyły się drzwi, do pokoju wszedł ojciec chrzestny i zawołał:

– Bzdury, bzdury! To są przecie korony, które przed laty nosiłem przy zegarku jako breloki i które podarowałem Klarze na urodziny, kiedy skończyła dwa lata. Czy pamiętacie?

Ani radca, ani radczyni nie mogli sobie tego przypomnieć.

Klara widząc, że twarze rodziców są znowu przyjazne i wesołe, podbiegła do ojca chrzestnego i zawołała:

– Ach, mój ojcze chrzestny, ty wiesz przecież wszystko! Powiedz więc, że mój Dziadek do Orzechów jest twoim siostrzeńcem i że to on podarował mi te korony.

Ale sędzia zasępił się tylko i mruknął:

– Mała, głupiutka dziewczynka!

Radca ujął Klarę za obie ręce, ustawił przed sobą i rzekł:

– Słuchaj, Klaro, czas już skończyć z tymi wymysłami! Jeżeli raz jeszcze powiesz, że ten mały potworek jest siostrzeńcem pana sędziego, to wyrzucę za okno nie tylko jego, ale wszystkie inne twoje lalki razem z panną Elizą!



Nie wolno więc było Klarze mówić o tym, co przepelniało jej serce. Nie zapomina się przecież tak łatwo o podobnie wspaniałych rzeczach, jakie ona przeżyła.

Wyobraź sobie, mój drogi Czytelniku, że nawet jej braciszek Fred obracał się do niej plecami, gdy chciała mu opowiadać o czarodziejskim królestwie, w którym przeżyła tak szczęśliwe chwile. A nawet, zdaje się, że kilkakrotnie mruknął przez zęby: „Głupia gaska” – ale nie bardzo w to wierzę, gdyż w gruncie rzeczy Fred miał dobry charakter. Prawdą jest natomiast, że przestał wierzyć we wszystko, co mu opowiadała Klara, i podczas publicznej parady przeprosił swoich huzarów za wyrządzoną im krzywdę. Na miejsce zabranych odznaczeń przyczepił im o wiele wspanialsze kity z oskubanych piór gęsi i pozwolił im znowu trąbić marsz gwardyjski. Tak, Tak... My wiemy najlepiej, jak wyglądała odwaga huzarów, kiedy ohydne pociski zaczęły plamić ich czerwone mundury!

Nie wolno było Klarze mówić o swoich przygodach, ale wspomnienia niezwyklej krainy otaczały jej głowę jak gdyby czarodziejską, słodką melodią. Kiedy tylko pomyślała o tym, widziała wszystko dokładnie po raz wtóry; toteż zdarzało się często, że zamiast bawić się, jak to dawniej bywało, siedziała w kącie nieruchoma, milcząca i pogrążona w myślach.

Pewnego dnia sędzia naprawiał zegar w mieszkaniu radcy. Klara siedziała obok oszklonej szafy i patrzyła w zamyśleniu na Dziadka do Orzechów. Nagle wyrwało jej się zupełnie niechcący:

– O mój drogi panie Droselmajer, gdyby pan żył naprawdę, nie postąpiłabym tak, jak księżniczka Pirlipata; nie wzgardziłabym panem za to, żeś przeze mnie i dla mnie przestał być młodym i przystojnym chłopcem!

W tej chwili ojciec chrzestny krzyknął:

– Cóż to znowu za bzdury!



Jednocześnie w pokoju nastąpił taki trzask i takie zamieszanie, że Klara zemdląła i spadła z krzesła na ziemię.

Kiedy przyszła do siebie, matka starała się doprowadzić ją do przytomności i mówiła:

– Kto to widział spadać z krzesła! Taka duża panna! Oto przyjechał siostrzeniec ojca chrzestnego. Bądź dla niego grzeczna i uprzejma!

Klara podniosła oczy. Czyżby to był jej Dziadek do Orzechów? Sędzia włożył swoją szklaną perukę oraz żółty surdut i uśmiechając się bardzo przyjaźnie, trzymał za rękę młodzieńca niewielkiego wzrostu, lecz bardzo zgrabnego i przystojnego. Twarz jego była jak krew z mlekiem, ubrany był w piękny jedwabny surdut obramowany złotem, białe jedwabne pończochy i zgrabne pantofelki; do żabotu wpięty miał śliczny bukietik ze świeżych kwiatów. Włosy miał kunsztownie ufryzowane i upudrowane, a na plecach zwieszał się pięknie spleciony warkocz. Krótka szpada u boku błyszczała, jak gdyby była wysadzana drogimi kamieniami, a kapelusik pod pachą wyglądał jak z najłżejszego puchu.



Młodzieniec dał zaraz na wstępie dowody dobrego wychowania, przywiózł bowiem Klarze mnóstwo pięknych zabawek, przysmaki z marcepanu i zupełnie takie same lalki, jakie pogryzł Król Myszy. Fred dostał od niego prześliczny pałasz.

Po herbacie uprzejmy gość tłukł dla wszystkich orzechy, a umiał sobie poradzić nawet z najtwardszymi: prawą ręką wkładał je do ust, lewą pociągał za warkocz i trach!... łupina rozpadała się w kawałki.

Klara zaczerwieniła się po same uszy, kiedy po raz pierwszy ujrzała miłego młodzieńca, który tak bardzo przypominał Dziadka do Orzechów, a rumieńce jej stały się jeszcze żywsze, kiedy poprosił ją po jedzeniu, żeby zechciała podejść z nim do oszklonej szafy w bawialni.

– Bawcie się grzecznie, dzieci – powiedział sędzia. – Wszystkie moje zegary chodzą prawidłowo, nie obawiam się więc niczego.

Zaledwie dzieci znalazły się same, nagle – czyżby się Klarze zdawało? – młody Droselmajer ukląkł przed nią na jedno kolano i rzekł:



– O najdroższa panno Klaro, uszczęśliwiony Dziadek do Orzechów, któremu uratowałaś życie, klęczy przed tobą. Powiedziałaś, że nie wzgardziłabyś mną jak zła księżniczka Pirlipata, gdybym w twojej służbie stracił urodę. W tej samej chwili przestałem być wstrętnym Dziadkiem do Orzechów i wróciłem do swej dawnej postaci. O droga panno Klaro, zechciej mnie uszczęśliwić! Ofiaruj mi swoją rękę, daj mi dzielić z tobą koronę i państwo, panuj w raz ze mną w Marcepanowym Pałacu, bo jestem tam teraz królem!

Klara podniosła młodzieńca z ziemi i powiedziała cichym głosem:

– Drogi panie Droselmajer, pan jest dobry i łagodny, a w dodatku rządzi pan prześlicznym państwem, w którym mieszkają mili i weseli ludzie. Przyjmuję więc pana oświadczyny.

W ten sposób Klara została narzeczoną pana Droselmajera.

Po latach młodzieniec zajechał po nią, jak to się mówi, „złotą kareta zaprzęzoną w srebrne konie”. Na weselu tańczyło dwadzieścia dwa tysiące figurek ozdobionych perłami i diamentami i Klara została królową krainy pełnej błyszczących lasów gwiazdkowych, przezroczystych pałaców marcepanowych, słowem, najpiękniejszych i najcudowniejszych rzeczy, które się widzi, jeśli się patrzeć umie.



Koniec



